

Bractwo Świętego Józefa
Adwentowe Dni Skupienia online
21-22 listopada 2020

Sobota

Beethoven – Symfonia nr 7; Spirto Gentil CD nr 3

Siódma Symfonia jest niczym opis wielkiego święta. W części pierwszej wprowadzono nas w głąb, w wir tego święta. Lecz w pewnej chwili, jedna z osób, typ dziwny, ekscentryczny, odłącza się od towarzystwa, wychodzi na zewnątrz. Może żeby odetchnąć nieco świeżym powietrzem. Przypatruje się wszystkiemu z niejakiej perspektywy i dostrzega absolutną marność, pustkę tego wszystkiego. Ten człowiek spogląda z ironią, z sarkazmem na tę nicość - na to, co im tam wewnątrz zdawało się wszystkim. Z tego poczucia rodzi się część druga Symfonii. Wmieszała się w to jakaś inna muzyka. Zdaje się, jakby ona nam mówiła prawdę o tym, co nas przedtem zajmowało i bawiło.

(Ludwig van Beethoven – Symfonia nr VII)

Ksiądz Michele Berchi

Kościół wprowadza nas w Adwent, wprowadza nas w oczekiwanie. W oczekiwanie Tego, który już rozpałił nasze serce. W przeciwnym razie nie oczekivalibyśmy niczego i nikogo. Natomiast Adwent jest właściwy jedynie chrześcijaństwu. Bo tylko Ten, który już przyszedł, Ten, który jest wśród nas, może za każdym razem odnowić w nas oczekiwanie. Całe życie Matki Bożej było od samego początku oczekiwaniem czegoś, co już się w niej działo. Rozpoczynamy te Rekolekcje, prosząc wraz z Nią, i Ją prosząc, o wsparcie naszego błagania o Ducha Świętego, Tego, który, rozpalając nasze serce i nasze ciało, czyni je płodnymi.

1/ Nicość za plecami

Każdego ranka, gdy tylko się ockniemy, gdy tylko oczy otworzymy, budzimy się wewnątrz dramatu, w samym sercu walki. Może to być walka choćby o parę minut snu więcej! Prawdziwa walka, w wirze której się znajdujemy, toczy się pomiędzy **tendencją do rozpadu** – tendencją, którą czujemy, jak miota nami i tym, co nas otacza, i która jest doprawdy niczym zew nicości, zew tego **nic**, z którego wszystko i wszyscy się wyłaniamy, z którego wydobyli zostaliśmy, tego **nic**, które w tym pierwszym momencie dnia zdaje się nas ściągać ponownie w jamę rozkładu, w głąb egzystencji, która rozsypuje się na wiele luźnych kawałków – a **instynktem, który dowodzi działania tej mocy, z którą Bóg w tym momencie nas stwarza**, nadal i bezustannie nas stwarza, chwila po chwili, po wieczność, mocy Boga, w jedności Ducha Bożego, Ducha, który jest Życiem w najwyższym stopniu i który działa w nas jako siła jednocząca. Co rano to się w nas rozgrywa: wybór, czy dać się wlec przez tę tendencję do rozkładu, czy posłusznie pójść za owym instynktem, pójść za mocą, za Duchem Bożym.

Być może któregoś dnia,
przechadzając się
w wyschłym powietrzu ze szkła,
za siebie się obejrzę
i zobaczę ten cud,
który się właśnie spełnia:
nicość za plecami,
za mną pustka, i ja
pijany przerażeniem.

Potem z nienacka,
jak na ekran w kinie,
drzewa, domy, wzgórza
bezlądnie się wysypią,
jak zwykle,
w podstępnej złudzie.
I będzie już za późno.
A ja,
przechodząc między ludźmi,
co nawet się nie obejrzą,
w milczeniu odejdę
z tym moim sekretem.
(Eugenio Montale)

“Nicość za plecami, za mną pustka”. Oto twoga tych dni: pustka za mną, pustka naokoło mnie, pustka wewnątrz mnie, pustka, którą chaotycznie usiłujemy zasypać naszymi zajęciami, wytworami, planami i ich organizowaniem, naszymi spotkaniami, naszymi obowiązkami.

Zamknięci w domach, wydaje się, jakby rzucono nam w twarz pytanie: a jeśli dziś nie mogę robić tego, co dotąd robiłem, na co się zda ten dzień? Jaki ma sens? Jakie jest jego znaczenie? Jakie jest znaczenie moich dni? A więc, mój dzień jest coś wart, kiedy robię coś przydatnego? Coś jestem wart tylko wtedy, gdy robię coś użytecznego? Jestem coś wart, bo coś robię? A więc, polegam na tym, jestem tym, co robię? Kim jestem? Jaka jest naprawdę moja wartość?

Te przemyślenia, które do niedawna wydawały się nam rozważaniami z trudem składanymi w jakimś porządku w ślad słów „*Zmysłu religijnego*” Księdza Giussaniego, i cały czas z mglistym podejrzeniem, że są one sztucznymi konstrukcjami, a co najmniej intelektualną dywagacją, teraz natomiast wyłaniają się z naszego doświadczenia z przemożną gwałtownością. Codziennie rano odkrywamy, jak, z prędkością światła, to doświadczenie prze niczym rwąca rzeka w żyłach. A walka, która zeń wynika, określiła i nadal dyktuje poziom sił, nastroju, ochoty na podniesienie się z łóżka, ochoty na życie.

Ileż to razy złapaliśmy się na tym, że szukaliśmy czegoś, czym się zająć (wstyd przyznać; ale tak jest!), no, choćby pójść po zakupy, aby doświadczyć małej, przelotnej ulgi. Stwierdzając jednak, że, wprost proporcjonalnie, rosła wewnętrzna pustka, a z nią gorycz, strach i bezsilne niezadowolenie.

Potem z nienacka,
jak na ekran w kinie,
drzewa, domy, wzgórza
bezlądnie się wysypią,
jak zwykle,
w podstępnej złudzie.
I będzie już za późno.

Nihilizm, chcemy czy nie chcemy tak go nazywać, nie jest żadną przesadą ani chwilową fiksacją, a tym mniej jakąś teorią. Jest natomiast codzienną pokusą, prowokującą do walki, do zmagania, z którymi każdego ranka trzeba się nam mierzyć. To jest ta wielka pokusa zwątpienia w konsystencję tego, co robimy, konsystencję naszą, wszelkich rzeczy, i, co jest naszą największą udręką, zwątpienia w konsystencję osób, które kochamy. Owo poczucie braku konsystencji, niespójności, kusi nas przez cały dzień; jak gdybyśmy się ciągle potykali o jakieś znaki tego dowodzące – o jakieś wyboje podejrzeń, że wszystko jest oszustwem, o wrażenia, że rzeczy stały się nam obojętne, że nas niczym nie pociągają, że nas nic nie obchodzi. Zaczynamy myśleć: w gruncie rzeczy, na co się zda to wszystko?, i tak wszystko mija; wszystko mnie irytuje, wszystko mnie męczy, drażni; co za nuda!; a w końcu, i tak próżno szukać czegoś, co by było piękne...

Toczy nas wewnętrzny robak, jak to określa Ksiądz Carrón. Na ten temat, odsyłam was do pierwszej części Dnia Początku Roku, w której Ksiądz Carrón wprowadza wideo z Azurmendi.

Nie chcę obsesyjnie jątrzyć rany nadmiarem przykładów. Lecz wydaje mi się pomocnym przyjrzeć się konkretnym konsekwencjom, którymi ta pokusa zasypuje nasze życie. Po to właśnie, żebyśmy je mogli traktować jako konsekwencje i nie gubili się w wymierzaniu, odważaniu, w próbach korekt moralistycznych, nie pojmując, że trzeba dojść do korzenia i zabrać się za to z zupełnie innej strony. Ciekawym jest wspomóc się wzajemnie w zauważeniu niektórych z nich. Na przykład, **strach**, który często nas dławi wieczorem, czy z nadejściem kolejnej bolesnej wiadomości, rodzi się właśnie z tego oddechu nicości, który czuję na karku. Podobnie **odrętwienie**, które nas trzyma z dala od tego, co się wydarza, bo bronimy się przed trudem bycia w coś uwikłanym („w gruncie rzeczy, nie ma tu niczego dla mnie”). Lub **niestabilność, brak stałości**, kiedy usiłujemy zaspokoić się jakąś mizerną pociechą. W końcu **wściekłość, niezadowolenie**, które przeżywamy wobec bezsilności, niemożności zmiany sytuacji, naszej i cudzej. Bo przecież życie idzie swoją drogą, a nie podług naszych planów.

Te wszystkie rzeczy mają swe źródło w owej pokusie „nicości za mymi plecami”.

2/ Walka

Mówiliśmy o walce, która w nas się toczy. Ale, żeby toczyła się walka, potrzebni są co najmniej dwaj przeciwnicy. Jeśli z jednej strony jest nicość, która usiłuje nas wessać niczym przepastny wir (to pierwszy z przeciwników), co jest po przeciwnej stronie? Pokusa nicości, która nas ogarnia, wyzwala w nas jakiś niepokój. „Ja nie jestem do tego zrobiony, nie chcę tego!”. Nasze serce trwa w niepokoju. Jest w nas jakaś nieugiętość wobec tego. Wydaje się nam, że wszystko dowodzi, iż nic nie ma wartości, iż nie ma niczego, co miałoby mieć jakiś sens. I ta właśnie sytuacja uruchamia w nas niepokój, którego pozbyć się nie możemy, swego rodzaju niezłomność, nieuprzedzalność; z pewną domieszką podejrzeń, powiedzmy to sobie, do których się nie przyznajemy, iż to tłumaczenie jest coś niecoś abstrakcyjne, intelektualne... Natomiast, w tej sytuacji, jak, z jednej strony, wypływa na wierzch pokusa nicości, tak, z drugiej, z tą samą siłą objawia się owa **niemożność zredukowania pragnienia**. Ja nie chcę tej nicości! Ja tego ścierpieć nie mogę! To niemożliwe! Nie chcę tego! Ja jestem stworzony do życia, chcę żyć!

Opowiem wam coś, co mnie bardzo uderzyło. W masie różnych wideo, które w sieci się mnożą, przyszedł do mnie film przedstawiający baletnicę, w bardzo podeszłym wieku, na wózku, z chorobą Alzheimera. Miała słuchawki na uszach i słyszała muzykę *Jeziora łabędziego*. Próbowала, jak była w stanie, wykonywać gesty pełne wdzięku, te, które robiła lata wstecz, kiedy tańczyła. W wideo przeplatały się sceny z nią siedzącą na wózku, z jej zachwyconymi spojrzeniami, i sfilmowane przed laty obrazy jej, młodej, tańczącej na scenie w rytmie tej samej muzyki. Wzruszające. Ale krzyk, który w sobie słyszałem, był ten: to niemożliwe, żeby czas zawsze i wszystko zmiała! To niesłuszne, że takie piękno miałoby być zmiecione, żeby stało się nicością!

W tym okresie, wobec takiego bagażu żałoby i to w tak okrutnych formach, często z powodu nagłości czy bezlitosnych okoliczności, w których wielu przeżyło śmierć swych ukochanych, pragnienie życia wyłoniło się z całą swą potęgą. Tego nie można zredukować. Nie stworzono nas do nicości. Jest coś w nas takiego, co temu opór stawia. Ale i w codziennym, najbanalniejszym nawet życiu, ten niepokój, ten głód znaczenia, jakkolwiek dotąd to opisaliśmy z punktu widzenia ich ciemnej strony, ta potrzeba sensu, jak nigdy przemożna, wypływają na światło właśnie sprowokowane ową pokusą nicości. Wyłoniła się w nas potrzeba sensu, tak realna, jak realna jest pandemia. Absolutnie nie abstrakcyjna! Konieczność sensu każdego gestu okazywała się za każdym razem najkonkretniejszą strawą, jakiej nam było potrzeba. Jesteśmy głodem i pragnieniem znaczenia. Tego nie można ominąć, widać to zwłaszcza w aktualnym doświadczeniu. Ja mam potrzebę rozumienia i poznania przyczyny i celu.

Strach ma jeszcze jedno oblicze. Jest nim uczepienie się czegoś, czego nie chcemy utracić. Jeśli się boję, znaczy, że do czegoś jestem przywiązany. Ksiądz Giussani mówił, w *Zmyśle religijnym*: pierwsze pojawia się **piękno**, za nim **strach**, że je stracę. To nie działa automatycznie na odwrót. Nie ma strachu, jeśli przedtem nie było piękna. Podczas gdy może zaistnieć piękno bez lęku. Stąd

tak ważne jest zdać sobie sprawę z tego uderzającego i nieuniknionego faktu, z tego przywiązania do rzeczywistości, do życia, z tego objawiającego się pragnienia, z tej potrzeby sensu. To podstawowe – bo mówi nam, kim jesteśmy, kim ja jestem. Gdyby nie było strachu, ześlizgnęlibyśmy się w nicość bez mrugnięcia okiem. A to się nie zdarza; bo to niemożliwe. Doprawdy, zaszło przewrócenie do góry nogami naszych schematów mentalnych, kulturalnych, pseudokulturalnych. Przedtem to, co robiliśmy, zdawało się nam „konkretem” w życiu, podczas, gdy znaczenie uważaliśmy za aspekt abstrakcyjny, podlegający interpretacjom, co najmniej subiektywny (każdy z nas przypisywał sobie pewien stopień wolności w wymyślaniu swoich przyczyn, powodów i celów). Natomiast – wstrząsające! – w doświadczeniu tego okresu, tym, czego potrzebujemy konkretnie, jak wody i powietrza, okazało się w sposób jasny **znaczenie**. Do tego stopnia, że bez niego, bez dobrego, solidnego, obiektywnego i konkretnego **dłaczego, skąd i po co**, rzeczy, które robiliśmy i robimy, jawią się abstrakcyjne, zawile, puste, bez sensu. Nicość. Rzeczywistością - tym, co czyni te rzeczy konkretnymi, teraz to odkryliśmy, jest ich sens. Tej zasadniczej mojej struktury nie można pominąć: ja jestem głodem, pragnieniem, oczekiwaniem znaczenia. To jest struktura, która stawia tamę nicości, która przeciwstawia się nicości, która z nią bój toczy i próbuje się jej opierać. Z tego punktu widzenia, im bardziej jesteśmy tego świadomi, im bardziej to zauważamy, to odkrywamy w nas ze zdumieniem, tym lepiej widzimy i odczytujemy to, co nas otacza, spostrzegamy i orientujemy się. Co, nieraz z odcieniem pogardy, piętnowaliśmy jako wyrazy niedojrzałości i powierzchowności – chóry na balkonach, sztandary i transparenty z napisami „wszystko pójdzie dobrze”, a może to była, owszem naiwna, ale przecież deklaracja nadziei? Lub krzyk, taki może trochę pokrzywiony, ale dowodzący istnienia człowieczeństwa, które nie wie jak, ale próbuje opierać się inwazji nicości?

Jasne, nie wszyscy otrzymali łaskę, która nam przypadła w udziale – a która mi zabrzmiała jako genialny pomysł Księdza Carróna; który nas napomniął, stawiając nam przed oczami obiektywną prawdę: że **jeśli jest pytanie, to jest i nań odpowiedź**. Trochę nas to zaskoczyło. Zbyt proste. A może nieco dziwaczne, jakieś wymyślone, abstrakcyjne.

Coś wam opowiem. Wśród wszystkich zmian, jakich musieliśmy dokonać, po to, by umożliwić Spowiedzi, a więc nie używać już konfesjonałów, ale dużych pomieszczeń, przekształciliśmy kawał zakrystii w piękny pokój ze stołem, barierą z pleksiglasu, przepisowymi dystansami. Przesuwając meble, odkryliśmy w murze ...kasę pancerną! Nikt już o tym nie pamiętał. Tego sejfu nikt nie mógł otworzyć, bo nikt nie wiedział, gdzie się klucz podział. Ale jedno jest pewne: klucz był kiedyś, albo jest gdzieś nadal! Nie miałby żadnego sensu wymysł zamka, gdyby nikt nie wymyślił klucza. Przykład jest barwną przenośnią. Ale z prostotą ilustruje istotę sprawy: nikt nie wątpi w istnienie klucza do zamka kasy pancernej. Nawet jeśli go nie można znaleźć, gdzieś musi być. Bo rozum nie zaakceptuje absurdu, że ktoś mógłby wymyślić sejf z zamkiem, do którego nie ma i nie było klucza.

Wracając na poziom egzystencjalny: jeśli doświadczam tęsknoty, to dlatego, że jest ktoś, kogo mi brakuje. Nie można tęsknić za jakimś pojęciem. Tęsknota jest dowodem, że jest ktoś, że ktoś był, że ktoś mnie poruszył; inaczej nie miałaby sensu. I tak samo, jeśli we mnie istnieje owo pragnienie sensu, jeśli ja jestem pragnieniem sensu, jaka byłaby alternatywa? Coś w rodzaju kasy pancernej, do której nie dorobiono klucza? Przecież to absurd!

Ale mój rozum wobec przykładu sejfu się śmieje, natomiast wobec kwestii znaczenia życia wariuje. Jeśli ja jestem pytaniem, błaganiem o sens, znaczy, że jest odpowiedź. Dzieje się tak, ponieważ kogoś mi brak, sensu mi brak, mam jego potrzebę. W tym prostym stwierdzeniu znajdują się wielkie pokłady środków oporu względem nicości.

Trzeba sobie uświadomić kim w tym momencie jesteś: ty jesteś kimś chcianym. Jest Ktoś, dla Kogo fakt, że żyjesz, ma ogromną wartość. To pewne. Bo uczynił cię pragnieniem Jego, w każdej chwili stwarza cię pragnącym, przepełnionym tęsknotą, łaknącym, zgłodniałym, potrzebującym Jego, po to, by móc Siebie zaofiarować twojej wolności, aby w waszej relacji była wolność w tym twoim oczekiwaniu, pragnieniu, w twoim przyjęciu, akceptacji Jego.

Spróbujmy kolejny raz posłuchać piosenki, która jest opisem drogi, którą do tej chwili przebyliśmy, drogi naszego serca i naszego pragnienia.

Mój Boże,
patrzę na siebie.
I oto odkrywam,
że nie mam twarzy.
Patrzę
w głąb siebie
i widzę jedynie
ciemność bezkresną.
Tylko wówczas
gdy spostrzegam,
że Ty jesteś,
znów słyszę echo
mojego głosu.
I się odradzam
jak czas, który świta
ze wspomnień.
Dlaczego drżysz,
moje serce?
Nie jesteś samo.
Nie jesteś samo.
Nie umiesz kochać -
i jesteś kochane.
Jesteś kochane.
Nie możesz
samo siebie
stwarzać -
a przecież
jesteś
stwarzane.
Jesteś stwarzane.
Jak gwiazdy tam w niebiosach,
daj, bym w Bycie kroczyła.
Daj, abym wzrastała,
bym się przemieniała,
jak ty, o światło,
co rośniesz
i w dni się i noce przemieniasz.
Duszo moja,
rób tak, jak te śniegi,
co barwami się mienia,
niczym łagodne Twe szczyty
w słońcu Twojej miłości.
(Adriana Mascagni)

Patrzę w głąb siebie, widzę ciemność, spostrzegam, że Ty jesteś. Patrzę, widzę, spostrzegam. To nie jest mechaniczne. Trzeba decyzji, aby to zrobić. Jedynie, gdy nie jest to powtarzaniem formuły, choćby śpiewanej, lecz jest tutaj obecne JA, moje JA stojące z podniesioną głową, w pełni swego pragnienia, w pełni swej inteligencji, w pełni swego rozumowania rozumem otwartym i złaknionym, wówczas żyć zaczynam. Owo „spostrzegać”, „zauważać”, popycha nasze poznanie, uznanie, do stania się pytaniem i prośbą. Mówi Izajasz: „*Gdybyś Ty rozdarł niebiosą i zszedł...*” (Is 63, 19).

„Dlaczego drżysz, moje serce? Nie jesteś samo. Nie jesteś samo”. To jest właśnie ta wielka praca: samoświadomość. I ranek jest drogą dla każdego z nas, abyśmy Go rozpoznali. Wewnątrz walki między byciem wsysanym przez nicość a, poczynawszy od przykrości złego samopoczucia, byciem w pełni obecnym w obliczu samego siebie, uzdalniany zostaje do rozpoznania, że „Ty jesteś”, Ty, Tajemnico, jesteś.

Tą ogromną pracą jest samoświadomość, owa droga, którą opisuje piosenka: „daj, bym w Bycie kroczyła”. W Bycie, nie w nicości. „Daj, abym wzrastała, bym się przemieniała”. „Duszo moja, rób tak, jak śniegi, co barwami się mienią w słońcu Twojej miłości”. Jak echo. Jak ktoś opromieniony Twoją Obecnością, która na jaw wychodzi w moim Ciebie głodzie i pragnieniu. Oto dowód, w zasięgu ręki, mój, wewnątrz mnie, w takim moim doświadczeniu Ciebie. Ty mnie czynisz Ciebie żłaknionym, na Ciebie czekającym. Ty jesteś. Daj, bym dzień po dniu kroczyła na drodze, która z nicości doprowadza do poznania, uznania Ciebie. Dlatego **cisza**, która jest właśnie tą drogą, jest potężną bronią przeciw nicości.

Krótko mówiąc, przyjaciele, to nie tylko i nie przede wszystkim jest zagrożenie sanitarne. To jest zagrożenie człowieka, prawdziwe zagrożenie ludzkości. W tej sytuacji pojawiła się okazja: w sposób oczywisty dostrześliśmy, jaka jest największa potrzeba człowieka. I stąd, nie wszystkie rozwiązania są na poziomie problemu.

3/ Nieadekwatne próby

Przemieniło się w doświadczenie to, co stało się ewidentne w niektórych próbach, którym ulegliśmy, i nadal ulegamy. Gdy te usiłowania okazały się nie na poziomie naszego człowieczeństwa, nie na poziomie naszego pragnienia. Tośmy sobie wielokrotnie mówili. A teraz to na światło dzienne wyszło: znaczenie, którego pragniemy i łakniemy co rana, nie zawiera się w słownych tłumaczeniach.

a/ Powtarzane przemowy

Lapidarnie to ujął Książdz Carrón: *„Myśl, filozofia, psychologiczna czy intelektualna analiza, nie są w stanie wprowadzić w ruch człowieczeństwa, nie są w stanie przywrócić oddechu pragnieniu, odrodzić naszego JA”*. Pamiętacie, jak w młodości powtarzano nam (a i my powtarzamy to samo młodzieży): „jeśli się nie będziesz uczyć, nie zajdziesz daleko, do niczego nie dojdiesz”. Owszem, to zgodne z prawdą, jasne, logiczne. Ale nikt z nas nigdy książki nie otworzył z tej przyczyny. I nigdy jej nie otworzy. Zrozumienie czegoś nie starczy, abym się poruszył. I odwrotnie, jeśli ja się nie poruszam, to, tak naprawdę, danej sprawy nie pojąłem. Zdaje nam się, że ją zrozumieliśmy, myślimy, że ją zrozumieliśmy. Natomiast, po prostu ją oparaliśmy w słowa, które już mamy na myśli, oparaliśmy w ogólniki – jak to powiedział Książdz Pino na ostatniej Szkole Wspólnoty [online z X.Carrónem] – to znaczy w teorię chrześcijańską, „ciellina”... Spróbujmy to pogłębić.

Coś pojąć oznacza ukochać to. Inaczej: aby coś zrozumieć, trzeba to ukochać. To oznacza, że ta rzecz mnie pociąga, że jest częścią odpowiedzi na moje pragnienie szczęścia i pełni, ma związek z moim pragnieniem. Uwaga! Pułapka jest wielka. Co więcej: zwróćmy uwagę, być może jest to największe przeoczenie, jakie się nam regularnie zdarza. I dlatego jest tak znaczące, z punktu widzenia metody, że Książdz Carrón postawił nas w obliczu Mikela Azurmendi, wobec sposobu, w jaki on zmierzył się ze spotkaniem z Ruchem. Ponieważ można stanąć przed setkami faktów wśród nas, które nas zdumiewają, nas wzruszają, które się na naszych oczach zdarzają... Ile ich słyszymy, w ilu uczestniczymy, ile z nich możemy opowiedzieć? A potem, jak gdybyśmy je oparali w znane ogólniki. Mówi Książdz Giussani: „podporządkowujemy je abstrakcyjnym, ogólnym pojęciom” – patrzymy na nie, traktujemy jako potwierdzenie czegoś, co już wiemy. Nie jak coś czy kogoś, co się teraz wydarza i wzywa jedynie po to, by za nim pójść. Oznacza to, że, podporządkowując te fakty abstrakcyjnym ogólnikom, temu, co już wiemy, używając ich jako potwierdzenia czegoś już znanego, czegoś nieruchomego, abstrakcyjnego, sterylizujemy, wyjaławiamy je z ich istoty: z bycia Wydarzeniem. Co nie znaczy, że faktów nie widzimy, mówił Książdz Carrón – Azurmendi jest dyletantem w porównaniu z tym, co myślimy w naszym

towarzystwie widzieli przez lata, przez dziesiątki lat. Lecz, podczas, gdy on poszedł za tym, posłuszny uznanej przez siebie odpowiedniości, my podporządkowujemy podobne fakty abstrakcjom, reasumujemy je w ogólnikach: w abstrakcji Ruchu, charyzmatu, który już znamy, już wiemy o co chodzi, już wszystko mamy pod kontrolą. Ale na widok zakochanej kobiety, zakochanego mężczyzny, czy sami zakochani, sumujemy fakty w celu, aby potwierdzić sobie własną teorię zakochania, wyjaśnić sobie lepiej pojęcie zakochania?! Idziemy śladem faktu. To zdarzenie jest dla mnie znakiem obecności. A ta obecność coś mi mówi, zdarza się przede mną, woła mnie, i ja za nią podążam. A nie, że mi potwierdza teorie o miłości. I w ten sposób w Azurmendim wszystko się przemienia, następuje przemiana poznania, poznanie jest nareszcie prawdziwe. W nas natomiast, wobec takich samych rzeczy, charyzmat przestał być **ciągłym ponownym ziszczaniem się Wydarzenia**, za którym podążamy, które rozpoznajemy i uznajemy tu i teraz – podobnie jak kobieta, która mnie fascynuje, w której się zakochuję. Nam te fakty ozdabiają i potwierdzają abstrakcję, która mamy w głowie. To wstrząsające. Musimy się temu uważnie przyjrzeć. Bo to naprawdę jest niebezpieczne. Straszliwa redukcja Wydarzenia. Umiemy przytaczać fakty, nawet nas one uderzają, zdumiewają, ale nas nie poruszają. Wyjaławiamy je, pakujemy je w ogólniki dalekie od rzeczywistości. To jest skrajna alternatywa; co znaczy, że wszystko może się zdarzyć, a ja w gruncie rzeczy i tak się nie ruszę.

Właśnie to Jezus wyrzucał swemu pokoleniu: „Graliśmy wam na flecie, a wyście nie śpiewali”. Nie, że fletu nie słyszeliście, że się nie zorientowaliście. Wy się nie ruszyliście! Nic wam to nie mówiło! Jasne, że widzieli! Ale nie posłuchali. Ideologia, gadanie nie starczą. Nawet te chrześcijańskie przemowy. Tym mniej wszelkie inne. Tego nie trzeba nam tłumaczyć. Poczuliśmy nudę tych przemówień, analiz, zapewnień w telewizji, z pulpitu, czy choćby w naszych Szkołach Wspólnoty czy na Spotkaniach grup. Ale z wielką siłą wyłoniła się w nas obecność czujnika, o którym już zapomnieliśmy. A odkryć coś takiego w doświadczeniu to niemała sprawa! Że nie starczy ideologia, nie jest to tylko stwierdzenie. Jest to zaproszenie do podobnego odkrycia w twoim doświadczeniu. Bo, doprawdy, kiedy coś zamienia się w ideologię, w garść abstrakcyjnych ogólników, i przestaje być Wydarzeniem, mdli cię i nuży. Twoje pragnienie się nie myli.

b/ Również czepianie się reguł okazało się nieadekwatne

Wydaje się nieraz, że ktoś ma coś przeciw regułom i że pieje peany na cześć rozprzężenia bez ograniczeń. To nie tak! Wyszło na jaw natomiast, że próba trzymania pod kontrolą tak rzeczywistości, jak i siebie samego, przy pomocy świetnych, jasnych reguł sobie narzuconych, nie dała rezultatów. Co więcej, okazała się usiłowaniem bezużytecznym i zwodniczym. Szerzącego się krzyku potrzeby sensu nie zdołało uśmierzyć ewentualne początkowe zadowolenie z dobrego wypełniania reguły Bractwa Świętego Józefa, Ruchu, Kościoła. Powtarzam, nie mam nic przeciwko regule. Ale próba używania jej jako odpowiedzi na wołanie o sens nie działa.

c/ Więc poprzestańmy na małym!

Tak ujęte, żaden „ciellino” by tego nie zaakceptował. Mamy antywirusa, który natychmiast rusza do akcji. Lecz potem, w praktyce, trochę jak dzieci, które próbują zawsze, upierając się przy swoim nawet wbrew doświadczeniu, i my próbujemy jakoś i czymkolwiek się zadowalać. Ponieważ nie możemy wytrzymać zawrotu głowy towarzyszącego temu wołaniu o sens, więc próby rezygnacji z perspektywy pełni, ze obietnicy spełnienia naszego pragnienia, i nasze usiłowania poprzestania na jakichś namiastkach powszechnie i codziennie nam towarzyszyły i nadal nam towarzyszą. I to widzieliśmy na żywo, podczas gdy w nas się działo, niemalże bezsilni wobec samych siebie.

4/ A więc, co nas rzeczywiście wydiera ze szponów nicości?

Co jest prawdziwą odpowiedzią? Każdy z nas to wie. Zna momenty, okazje, chwile, w których mogliśmy odetchnąć. Kiedy i jakie były te momenty, w których odkryliśmy, że staliśmy się **pewni**? Ksiądz Giussani wypowiada to przepiękne zdanie, któreśmy w tym czasie powtarzali: „*Nie umiem znaleźć innego wskaźnika nadziei, jak tylko w mnożeniu się osób, które są **obecnością***”. Kiedy spostrzegaliśmy ślad odpowiedzi na poziomie naszego pragnienia? Wtedy, gdy natykaliśmy się na

osoby, które okazywały się obecnością, **autorytetami**, co znaczy na osoby, w których widzieliśmy, że nicość została pokonana. A widać było owo zwycięstwo w tym, co mówili, w jaki sposób to mówili. Było to oczywiste – natychmiast i w pełni współbrzmiało z głębią naszych potrzeb. Przynosiły one odpowiedź na nasze pragnienie sensu. Niosąc ten sens w ich ciele i w blasku ich oczu. Te osoby pozwalały nam, w jednej chwili, ponownie przeżyć ojcostwo charyzmatu – Ducha Chrystusa, który nas dosięgnął poprzez Księdza Giussaniego. Dlatego były autorytetami. To były JA odrodzone, które, poprzez ich odmienne człowieczeństwo, bliższe pełni, nagle żarliwie przez nas upragnione, w tych momentach nas odradzały. Nie jacyś nadludzie. Lecz w takich chwilach ich rozpoznawaliśmy – bo byliśmy w stanie **odetchnąć**. Wraca echem w naszym doświadczeniu to, co już niejednokrotnie słyszeliśmy, a co może przyjęliśmy, cośmy sobie przywłaszczyli jako jakąś inteligentną analizę chwili, a co teraz nareszcie naprawdę pojmujemy. A mianowicie, stwierdzenie Księdza Giussaniego: *„To jest czas osoby”. „Gdy się gromadzimy, po co to robimy? Żeby wydrzeć przyjaciół, a możliwie świat cały, z uścisku nicości, w którym się znajdują”*.

Sens stał się ciałem dwa tysiące lat temu. I jak przeszedł przez dzieje? Z serca do serca, z wolności w wolność, ze zdumienia w zdumienie, z TAK – TAK Matki Bożej, z jednego TAK w następne TAK, poprzez Księdza Giussaniego, przez twarze i przyjaźnie, które znasz, dosięgnął ciebie. Oto serce Tajemnicy Bożego Narodzenia. Mówi Ksiądz Carrón *„Tym, co wyrwało ewangeliczną jawnochrześcijańską z nicości, nie były jej myśli, jej postanowienia, jej wysiłki; była natomiast Obecność, tak pełna żarliwej miłości, preferencji dla jej osoby, dla jej JA, że ona tym została podbita, zdobyta”*. A teraz zdobywa mnie i zdobywa ciebie. Współczesność Chrystusa dziś urzeczywistnia się w Jego Ciele, którym jest Kościół.

5/ Adwent

Ale są dwa warunki. Pierwszy z nich to **patrzeć**. A to nie jest ani pewne, ani oczywiste. Bo, żeby patrzeć, żeby widzieć, potrzebne jest całe twoje człowieczeństwo, jak żeśmy to odkryli i opisali dotąd: twoje człowieczeństwo zranione pokusą nicości, twoje człowieczeństwo słabe, wątłe, poranione, i twoje serce, które, właśnie dlatego, że prowokowane tą nicością, poranione przez nicość, przez twą słabość, poczyną być sobą – być pragnieniem. Opis tego wydaje się skomplikowany. A w doświadczeniu okazuje się to łatwe, jest proste i jest codzienne. Niczego innego nie trzeba, jak tylko twego człowieczeństwa, takiego, jakie jest, jak się rano budzi, jakie jest teraz, jakie będzie za pół godziny. Jeśli Bóg stał się ciałem, *„trzeba być w ciele, aby zrozumieć Jezusa”*, mówi Ksiądz Giussani. Doświadczenie jest tym, co nam daje zrozumieć Jezusa. Jeżeli Bóg, Tajemnica, stał się ciałem, zrodził się z wnętrza kobiety, niczego nie można pojąć z tej Tajemnicy – jedynie poczynając od materialnych doświadczeń, poczynając od wnętrza.

Czytamy tekst z Bożonarodzeniowego plakatu:

„On jest obecny, tu i teraz: tu i teraz! Emmanuel. Wszystko tu ma początek; stąd wypływa wszystko, ponieważ wszystko się przemienia. Jego Obecność wymaga ciała, wymaga materii, naszego ciała. Obecność Chrystusa, w normalnym, zwykłym życiu, z czasem coraz to więcej zakłada bicie serca: wzruszenie Jego Obecnością staje się wzruszeniem codziennym życiem. Nie ma już nic niepotrzebnego, nie ma już nic obcego, rodzi się miłość do wszystkiego, wszystkiego!, z przepięknymi konsekwencjami poszanowania rzeczy, które robisz, dokładności w tym, co robisz, uczciwości wobec twego konkretnego dzieła, wytrwałości w dążeniu do celu działania. Stajesz się coraz bardziej niestrudzony. Rzeczywiście, tak jakby zarysowywał się inny świat – inny świat w tym świecie”.

Aby przechwycić odpowiedź w ciele, trzeba patrzeć. **Pierwszy warunek to patrzeć**. Patrzy, kto wie, że znajdzie. A wie, że znajdzie, bo już on został odnaleziony. Z tej racji Adwent jest tylko i jedynie chrześcijański, bo oczekujemy Tego, który już przyszedł.

Drugi warunek to rozpoznać i uznać. I to też nie jest automatyczne. Bo żeby poznać i uznać, trzeba być ubogimi – niczego nie mieć, czego chcielibyśmy bronić, żadnych naszych wyobrażeń. Nie ty jesteś tym, który decyduje jak, gdzie i kiedy. W tym piękny jest Adwent, piękne Boże Narodzenie. Podczas gdy faryzeusze mogli przytaczać opisy Mesjasza, jaki powinien być, kiedy powinien przyjść, szafując lawiną cytatów, uczonych analiz, interpretacji, pasterze nie myśleli

niczego bronić. I się poruszyli. Jak Trzej Królowie, co w drogę ruszyli. I dotarli do Jerozolimy. Uczeń w Piśmie powyciągał wszystkie księgi, odnaleźli miejsce i czas (najprawdopodobniej czas; a już na pewno miejsce); i mieli Go tam, o dwadzieścia kilometrów. A nie ruszyli się. Podsumowali Go w ich abstrakcyjnym, uogólniającym rachunku. Rozpoznać i uznać Wydarzenie niekoniecznie musi nastąpić. Pójść za nim, takim, jakim jest – Wydarzeniem – nie jest automatyczne. Trzej Królowie to zrobili. Advent i Okres Bożego Narodzenia są pełne takich postaci, takich obrazów, takich pomocnych treści. Nie ty decydujesz jak, gdzie i kiedy. Potrzebne są gotowość i ubóstwo, cechy tych, którzy nie twierdzą, że już wiedzą. Właśnie tak! Gotowość oznacza: być tak ubogim, że nie twierdzę, iż wszystko już wiem.

Zakończmy czytając razem, jak Ksiądz Carrón wprowadził nas w Advent podczas ostatniej Szkoły Wspólnoty:

„Advent jest czasem tego oczekiwania, w który Kościół nas jeszcze raz wprowadza. Chrystus na to oczekiwanie odpowiada Obecnością, która mówi poprzez fakty, tak na początku, jak i teraz. Metoda jest ciągle ta sama, jak niezmiennie przypomina nam Ewangelia. Te słowa Jezusa zdumiewają mnie za każdym razem: ‘Lecz szczęśliwe oczy wasze, że widzą, i uszy wasze, że słyszą. Bo zaprawdę, powiadam wam: Wielu proroków i sprawiedliwych pragnęło ujrzeć to, na co wy patrzycie, a nie ujrzeli; i usłyszeć to, co wy słyszycie, a nie usłyszeli’ (Mt 13, 16-17). Otóż, to odnosi się i do nas. Zawsze, za każdym razem, gdy się spotykamy, gdy słuchamy tak wielu opowiadań, widzimy taką ilość faktów, dzień w dzień. Fakty są formą, poprzez którą On wzywa nas do nawrócenia, teraz. A więc, my jesteśmy porcją tych szczęśliwych, o których mówi Ewangelia. Stając wobec tamtych ludzi, każdy z nas może dziś dokonać weryfikacji własnej gotowości, dokładnie tak, jak to czynili oni, którzy znaleźli się w obliczu faktów dwa tysiące lat temu - i mogli nimi wzgardzić, odmówić ich uznania: ‘Biada tobie, Korozain! Biada tobie, Betsaido! Bo gdyby w Tyrze i Sydonie działały się cuda, które u was się dokonały, już dawno by się nawróciły [...]’ (Łk 10, 13). Toteż, dotrzymujmy sobie towarzystwa – świadcząc jedni przed drugimi – w posłuszeństwie tym faktom, aby nie usłyszeć kiedyś takich słów do nas zwróconych: ‘biada tobie!’. Bo rzeczywiście, Kim jest Ten, który nas wzywa poprzez te fakty? Jezus kontynuuje: ‘Kto was słucha, Mnie słucha, a kto wami gardzi, Mną gardzi; lecz kto Mną gardzi, gardzi Tym, który Mnie posłał’ (Łk 10, 16). To przez świadectwo kogoś obecnego Chrystus nas dzisiaj powołuje. To On się nad nami lituje i puka do naszych drzwi u progu tego Adventu, aby nas całkowicie pojąć i porwać, i aby poprzez nas dotrzeć do wszystkich. A więc, dobrego Adventu!” – to nam powiedział Ksiądz Carrón, i to dziś my sobie powtarzamy.

Bractwo Świętego Józefa
Adwentowe Dni Skupienia online
21-22 listopada 2020

Niedziela

Muzyka: Antonin Dvořák – Kwintet fortepianowy A-dur, op.81

Tajemnica stała się obecna. Do tego stopnia, że jest dla nas widoczna, jest Obecnością doświadczalną. Wyszła nam naprzeciw. Nas wybrała, aby tym objąć cały świat, aby cały świat ze Sobą pociągnąć. Oto świadomość, poczucie otwierające wymiary bytu i piękna. Taka świadomość bytu otwiera wymiary prawdy i piękna świata - Prawdy i Piękna, to znaczy Chrystusa.

Piosenki:

-Canzone di maggio (Majowa piosenka)

-Haja o que houver (Cokolwiek się zdarzy)

Niech się dzieje co chce, jestem tutaj.
Cokolwiek się zdarzy, czekam na ciebie.
Wróć z wiatrem, kochanie moje.
Wróć szybko, proszę cię.
Minęło tyle czasu! Już zapomniałam,
dlaczego pozostałam z dala od ciebie.
Z każdą chwilą jest mi gorzej.
Wróć z wiatrem, proszę cię.
Ja wiem, ja wiem, kim dla mnie jesteś.
Cokolwiek się zdarzy, czekam na ciebie.

Ksiądz Michele Berchi

Zaczynamy to Spotkanie Pytań, tak nowe w swej formie. Gromadzić się w taki sposób może być wyzwaniem, by wejść jeszcze głębiej w istotę pomocy, której możemy sobie wzajemnie udzielić. Toteż starajmy się wspomóc. Niech to będzie praca pożyteczna. Niech to będzie krok, który Pan chce, byśmy wspólnie zrobili.

1/ Wystąpienie z Włoch

Drogi Księżu Michele!

Po tym, jak udałam się na Pogotowie Ratunkowe, z wysoką temperaturą, z wrażeniem głodu powietrza, po tym, jak okazało się, że tampon covid19 potwierdza infekcję, zamknęłam się na piętnaście dni w pokoiku małym na dwanaście metrów kwadratowych (z których osiem zajętych przez meble). Tamtego dnia najbliższa koleżanka napisała mi na WhatsApp: „No nie! To już jest pech!”. Pamiętam: nie tylko strach mnie dopadł; gorzej, przerażała mnie myśl o przypuszczalnym umieszczeniu w szpitalu. Koledzy z Pogotowia Ratunkowego mnie przestrzegali: „kontroluj saturację krwi, sprawdzaj ilość oddechów na minutę; jeśli parametry się pogarszają, musisz wezwać pogotowie...”. Wracając do pecha z WhatsApp-a, wobec słów koleżanki, moją początkową reakcją były głęboka wściekłość i bunt (i ja przez chwilę pomyślałam o pechu). Ale, kręcąc się po tej mojej klatce, znalazłam się nagle pod, zawieszonym przeze mnie, obrazem Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręku. Uczepiłam się tego wizerunku. I opanowało mnie spontaniczne pytanie: czy to możliwe, że dajesz mi te chwile jedynie jako „zezowate szczęście”?! Patrząc na Matkę i Syna, odpowiedziałam sobie, iż niemożliwym jest, by to wszystko, co się zdarzało, można było zamknąć w definicji tak banalnej i do tego stopnia niewyczerpującej, jaką są słowa „Co za pech!”. Stało się dla mnie oczywistym, że tę nową okoliczność On dawał właśnie mnie; a ja nie pojmowałam dlaczego. W mgnieniu oka przesłam z roli kogoś, kto leczy, w sytuację kogoś do leczenia. Pojawił się w głowie fragment Ewangelii mówiący: „Przyjdzie czas, gdy Ja cię opaszę i poprowadzę nie tam, gdzie ty sądzisz, lecz tam, gdzie Ja pragnę cię zaprowadzić...”. No cóż, w takim razie nic innego nie pozostawało, jak pozwolić działać Jemu: z ziarenkiem pewności, że wszystko (nawet ewentualna hospitalizacja) byłoby **dla mnie**, a nie przeciwko mnie. Zamilkłam, zaczęłam ciszę – tę prawdziwą. Byłam posłuszna kuracji, tak jak mi podyktowano, modliłam się, również bez formuł, byłam w ciągłym dialogu. Widziałam moje dzieci, jak zadbały o mnie i o Francesco, jednego z nich, który też się rozchorował w tamtych dniach. Widziałam przyjaciół, jak mi towarzysztwa dotrzymywali poprzez sms-y i WhatsApp-y, widziałam na ekranie komputera Księdza Gianni i Angelę, gdy służą Panu we Mszy Świętej, codziennie przeczytałam fragmencik „Blasku oczu”, widziałam przez okno przemienianie się dni i wieczornego mroku między drzewami parku Adda, który mam naprzeciw domu (i one mi zostały dane!). Po piętnastu dniach, z tamponem nadal pozytywnym, jeszcze bardziej było dla mnie ewidentne, że Pan mnie chciał właśnie tutaj. Wysłam z mojej izdebki, przeżyłam cały tydzień wspomagając dzieci w ich zadaniach szkolnych (w maseczce), czynność, której dotąd nie znosiłam, a teraz dawało mi to radość i sprawiało przyjemność. Być może, że, kiedy przestraszysz się, że możesz życie stracić, zaczynasz wszystko doceniać, nawet to, co najbardziej cię męczy. A może staje się bardziej jasnym **zadanie**, które nie jest tym, co masz w głowie. Jest nim natomiast po prostu **być na serio**

*tam, gdzie On cię chce. I wszystko staje się warte życia. To samo wrażenie ogarnęło mnie wczoraj, gdy wróciłam do pracy. Modliłam się i modłę, by nie utracić tej okruszyny przyrostu samoświadomości – świadomości, że jestem stworzona, stwarzana, i kochana: jakież to prawdziwe, że **ja jestem Tobą, który mnie stwarzasz!** Mam jedno pytanie - odnośnie trzeciego punktu, gdzie mówisz o niewystarczających, niestosownych próbach. Na przykład: że nie starczy mnożyć słowa, by zwyciężyć w pojedynku z nicością. Jakie zachowanie jest możliwe wobec osoby, którą kochasz, a pęka ci serce, bo widzisz, jak wyrzuca całą rzeczywistość na przemiał? Osobiście, kusi mnie, bym energicznie zareagowała, myśląc, że to może czemuś posłużyć. Ale wiemy z doświadczenia, że coś takiego z trudem zbawia. Staram się to przemodlić. W każdym razie, chciałabym jakiejś pomocy.*

Ksiądz Michele

Dzięki. Za to, żeś ty, chcąc nie chcąc, pozwoliła nam skrótowo przelecieć treść wczorajszej Nauki, poczynając od pierwszego wstrząsu, tego, który wszyscy na swój sposób przeżywamy, a któryś ty ujęła syntetycznie w słowo będące dla nas, Włochów, określeniem jasnym i wymownym: „sfiga” – pech. Pech – to termin, jak powiedziałaś, banalny, powierzchowny, a w gruncie rzeczy pełen owego **nic**. Nic innego nie mówi jak, że „życie to ruletka”, że „akurat mnie się to przytrafiło!”. Czujemy gorzki smak niesprawiedliwości. Lecz brak nam odwagi, by zwrócić się do kogoś i choćby ponarzekać. Zauważamy jedynie, że źle nam z tym, że to nie to, czego chcemy, że to przeciwne pragnieniu. Taka reakcja jest powierzchowna, jasne. Ale nasze człowieczeństwo zawiera w sobie ów bunt przeciw Covid, przeciw dławiącej chorobie, przeciw możliwej śmierci. W związku z tym nalegam, że w twoim wystąpieniu jest cała nasza droga wczorajszej Nauki: jest reakcja, jest nicość, która grozi i wzbudza trwogę, nicość, która nadciąga – w ciele, w trzewiach, w udręce, w oddechu, którego brak... A więc, okazuje się, że my nie zwalczamy teorii nihilistycznych, i tyle. Walczymy natomiast z tym potwornym magnesem nicości, który nas przyciąga i wlecze. Bo kiedy prawdopodobieństwo śmierci jest realne, kiedy je w naszym ciele odczuwamy, jakkolwiek to nazwiemy, nie będzie to abstrakcyjna teoria. I nadto buntujemy się. A wstrząsającym jest wrażenie, że z tego gnębiącego kręgu nie ma wyjścia.

Lecz w pewnej chwili, jak mówisz, pojawia się furtka. Przelotnie. Krótki moment. Czasem potrzeba długiego czasu, by dotrzeć do tej chwili. To jest przejście, o którym powiedziałaś cytując fragment Ewangelii mówiący o Piotrze. Chodzi o to, że, wobec tej całej rzeczywistości, ja mam możliwość zauważenia i uznania obecności kogoś, kto mnie zaprasza do uczynienia kroku wraz z nim, w stronę, w którą ja nie chciałbym pójść: „ktoś inny cię opasze”. To zaledwie chwila. Ale odtąd zaczyna się łańcuch konsekwencji. Przemienia się spojrzenie, rodzi się wdzięczność. Odzyskuję całą rzeczywistość, cieszę mnie jej nowy smak, przeżywam ją z nową mocą. Nawet widok tych drzew za oknem.

Ale czym jest ta chwila? Ta chwila nazywa się **wiarą**, którą wznosisz niczym miecz ramieniem twej wolności. To jest nasze **TAK**. Cała moja osoba podnosi się i staje wobec tej rzeczywistości i, rozpoznając, uznając Obecność, jest w stanie powiedzieć: tak, zgadzam się. Teoretycznie trudno to opisać. Bo to chwila, a jednocześnie to jest i tu jest wszystko. **TAK** znaczy: będzie jak będzie, jeśli Ty tu jesteś, tak, zgadzam się. I dobrze wiemy, o jaki to zawrót głowy przyprawia, gdy masz przed sobą perspektywę choroby, czegoś, co lęk wzbudza. Powiedzieć **TAK**, a więc oprzeć się całkowicie o wiarę, jest doświadczeniem jedynym w świecie – bo natychmiast wszystko doznaje wyzwolenia. Zaczynasz oddychać pełnymi płucami.

Ale czym jest ta wiara? Jest zrobiona z walki, z bitew. A ruszyć do boju jest krokiem rozsądnym, nie jest zamykaniem oczu. Podczas, gdy wszyscy mówią ‘masz szczęście, że masz wiarę, że możesz zamknąć oczy i zaufać’, nasze doświadczenie dowodzi czegoś diametralnie różnego: wiara wymaga oczu szeroko otwartych na przeszłość, na moją historię, na teraźniejszość.

Przeżyjmy to Spotkanie Pytań z takim właśnie pytaniem – by zrozumieć lepiej, o jaką wiarę tu chodzi, jak jest możliwym dokonać tego kroku, odpowiedzieć **TAK**, jak jest możliwym coś takiego powiedzieć, aby to było rozsądne, było ludzkie. Wiele z przysłanych pytań ma w głębi cień podejrzania, że ten moment przejścia, kto wie, jest jakimś zabiegiem intelektualnym, jak gdyby ktoś musiał łamać sobie głowę osobliwym, zawiłym przemyśliwaniem, aby zdołać... Co?! A przecież nie takie jest nasze doświadczenie! Pozostawiam otwartą tę kwestię – aby pogłębić, co oznacza ten moment przejścia, w którym ktoś mówi **TAK**.

Odpowiedzią na twoje pytanie jest odpowiedź dotycząca własnego doświadczenia. Aby zrozumieć, co jest komuś pomocne, trzeba wpierw zrozumieć, co mnie pomogło. Jest jak najbardziej prawdziwa, ta twoja troska, ta udręka, jaką wielu z nas przeżywa, choćby relacji z dziećmi, z ukochanymi osobami, z przyjaciółmi: chcielibyśmy wdać się w kwestię, stawić zdecydowanie czoła osobom czy problemom. Ale, czyśmy się kiedykolwiek poruszyli tylko dlatego, że ktoś, w celu przekonania nas, wytoczył przed nami rzekę słów o prawdzie? Nigdy nas to nie poruszyło z miejsca. A więc, co nas rusza? Co czyni możliwym nasze **TAK**? Tym, co czyni je dla mnie możliwym, jest metoda. W rezultacie, czyni mnie użytecznym dla innych. Im bardziej jestem świadom tego, co mnie się wydarzyło, tym bardziej mogę się stać narzędziem użytecznym. Użytecznym w kluczu pomocy. A nie w kluczu – jak mówi Ksiądz Carrón – problemu do rozwiązania, gdy, chcąc pomagać, wtrącamy się instynktownie, chaotycznie, czy też podług naszych pomysłów na temat dobra kogoś innego.

2/ Wystąpienie z São Paulo Brazylia

Przede wszystkim, chcę podziękować Ojcu Michele za te słowa. Gdy ich słucham, poruszają mnie i dają mi nadzieję.

Mówisz o regule. A ona mi nie wystarcza, ani mnie zabawia.

Dokładam, dosłownie, ogromnego wysiłku (i doznaję serii porażek) w ostatecznej próbie życia regułą. Z poczuciem, że to resztką zasobów, którymi dysponuję, aby się wyzwolić z nicości, w którą, czuję, pogrążam się wielokrotnie w ciągu dnia.

Każdego dnia, po przebudzeniu, z górami odpowiedzialności, które czuję na barkach (a które, zdaje się, „krzycząc, mnie wzywają”), teraz, kiedy pracuję z domu, drogą home-office, zanim zacznę się modlić, otwieram komputer. I dopiero, kiedy jestem podłączona, modlę się! To sprawia, że czuję się źle. A jednak, albo tak robię, albo w ogóle się nie modlę.

Dochodzę do wniosku, że stawiam Pana zawsze na drugim miejscu. Bo na pierwszym jest praca, są obowiązki. Dzięki Bogu, mówiłeś o walce każdego ranka. Jeśli dobrze zrozumiałam, jest to walka między bytem a nicością.

Chciałabym pójść do głębi tego zagadnienia. Jeśli ta walka jest codzienna, to czy istnieje punkt dojścia? Będę zawsze, codziennie, musiała przechodzić przez tę walkę?

Jak ty to przeżywasz? Moje ciało jest spragnione przemiany, w znaczeniu: spragnione bycia bardziej wierną. Choć tak „się wlokę” i tak często sromotnie upadam. Czy to pragnienie - żeby mi już nie była potrzebna taka walka, jest pokusą?

Nie chcę się poddać, chcę zwyciężyć. Czy to słuszna postawa?

Ksiądz Michele

„Nie chcę się poddać, chcę zwyciężyć”. Alternatywą dla walki, alternatywą dla bitwy – jak mówi Ksiądz Carrón, używając przykładu, który zawsze wzbudza mój uśmiech – jest cmentarz, na którym Pan królowałby niepodzielnie. I dziś, zamiast święcić Chrystusa Króla wszechświata, święcilibyśmy Chrystusa Króla cmentarza, który królowałby tam, gdzie już wszyscy wrogowie zostali wytępieni i gdzie wygasły już wszelkie boje i potyczki. Natomiast w naszym codziennym doświadczeniu, także fizycznym, walka nie jest czymś przeciw nam... Dramat życia, który rodzi się z rany, z naszego człowieczeństwa, który rodzi się z naszego zapomnienia, z naszego bycia jakże często roztargnionymi, z naszego dopuszczania, że życie daje się oмотać przez tysiąc małych spraw, które niestety zagracają cały horyzont naszych zainteresowań i nas oślepiają, ten dramat nie jest przeciw nam.

Często podaję następujący przykład. Kiedy mnie zapraszają na posiłek do domu kogoś z przyjaciół, mam zawsze nadzieję, że będzie to zaproszenie na wieczerzę. Bo zazwyczaj przychodzę na kolację bardziej głodny: zjadam mało na obiad, a wieczorem zjawiam się tak głodny, że pożarłbym wszystkich gości. To by było okropne, przybyć na grilla już najedzeni. Głód nie jest problemem, jeśli jest co do jedzenia. I w ten sam sposób, pragnienie, które się z tej codziennej walki wyłania, ten głód odpowiedzi, nie są nam przeciwne. Ale to możemy stwierdzić dzięki spotkaniu, które zaszło – bo wkroczyła w to odpowiedź. Ten, który odpowiada, wkroczył w rzeczywistość naszego życia. Stąd, fakt popchnięcia nas w dalszą drogę jest jedyną możliwością

uniknięcia brania rzeczy za oczywiste i automatyczne. Największy nasz trud, największe ryzyko, to pozostać nieporuszonym w obliczu odpowiedzi, bo brak nam apetytu, bo nie spostrzegamy kim jesteśmy – potrzebą, głodem, pragnieniem. Pomyślmy o mamie, która mówi dziecku, by nie jadło cukierków przed obiadem. Odbierają ci apetyt. Potem nie zaspokoisz prawdziwego głodu. To nam źle robi. Wpierw nie masz apetytu, nie masz ochoty na to, co cię może nakarmić. A po pół godzinie jesteś znów, i jeszcze bardziej głodny. A pora obiadu już minęła.

Wybaczcie ten banalny przykład. Jednym słowem, ta walka nie jest nam przeciwna. A to możemy twierdzić, ponieważ Chrystus stał się człowiekiem i nam wyszedł naprzeciw. I tak, Adwent, który rozpoczynamy, nie jest przeciw nam. Jest próbą podejmowaną przez Kościół – co oznacza przez samego Chrystusa – by nas w sposób wychowawczy znów ustawić w pozycji, w której zauważymy naszą potrzebę, oczekiwanie, którym jesteśmy. Abyśmy, gdy On nadejdzie, mogli Go spotkać. Jaka była ta najstraszniejsza sprawa, o której świadczy Ewangelia? Że Jego lud, który przez wieki był przygotowywany, Go nie oczekiwał. Nie dlatego, że Go nie potrzebował. Ale że Go oczekiwał innym od Tego, który nadchodził. Zatrzymał się na własnych wyobrażeniach. I te obrazy, w jakiś sposób, zamykały to oczekiwanie. Natomiast charakterystyką Boga, który stał się człowiekiem, okazało się, że, im bardziej był obecny, tym bardziej rośnie pragnienie Jego obecności. Kto Go spotykał, rośnie w nim coraz bardziej to pragnienie. Przede wszystkim dlatego, że miał potwierdzenie, iż odpowiedź jest!... A więc, nie jestem pomyłką, nie jestem wariatem, nie jestem pokręcony. Jakże są piękne wystąpienia wielu z was, którzy, wobec opisu tego dramatu, tej batalii, mówili: a ja zawsze posądzałem, że coś ze mną nie tak, zawsze sądziłem, że to mój problem, przydałaby się pewna pomoc psychologa...; odkrywam, natomiast, że to nie choroba, nie coś przeciwko mnie, że to jest droga, po której kroczyć, że to jest ustawienie mnie w pozycji, która czyni możliwym spotkanie. Dajcie sobie powiedzieć, że moralizm, codzienna nasza miarka i narzędzie, którym dobijamy nasze człowieczeństwo, mówiąc, że „źle jestem zrobiony” – co jest zatrutym źródłem wściekłości i wielu konsekwencji, które inni muszą znosić – rodzi się właśnie z tego nieporozumienia: z myślenia, że nie trzeba walki. „Będę zawsze, codziennie, musiała przechodzić przez tę walkę?”. Tak, bo to nas popycha do dalszej drogi. To jest pierwszy aspekt, który zauważyliśmy w opisie tego, co ujawnia się pomiędzy efektem „pecha” a poczuciem, że określenie „pech” nam nie wystarcza, że to tak nie jest, że to nie może być przypadkowe nieszczęście. Ale jeśli brak walki, nie ma w tym ciebie, a pragnienie zamienia się w narzekanie, miast przemienić się w otwarcie, w oczekiwanie.

3/ Wystąpienie z Nowego Yorku

Kiedy zastanawiam się nad nicością, myślę o niektórych ustępach Ewangelii, gdzie Chrystus jest odtrącony, nawet przez tych, którzy byli obecni, kiedy czynił cuda. Na przykład, kiedy Chrystus wskrzesił Łazarza, niektórzy pobiegli, by donieść o tym faryzeuszom. Gdy dziesięciu trędowatych zostało uzdrowionych, tylko jeden wrócił, aby podziękować. Kiedy Chrystus był sądzony przez Poncjusza Piłata, niektórzy, choć poznali Jego cuda i dzieła, krzyczyli „Ukrzyżuj Go!”. I przede mną jest walka na podobnym poziomie wolności, w moich codziennych kontaktach i wzajemnych relacjach, poprzez moje interpretacje rzeczy i zdarzeń, lub poprzez moje ubóstwo duchem. Zdałam sobie sprawę, że, w rezultacie refleksji i ciszy, moja wolność, czy mój brak wolności, rozgrywa się w formie interpretowania tego, co się wydarza. To ujawnia przede mną, gdzie jestem. A moim pragnieniem, natomiast, jest, by wyjść, uwolnić się od tego, dojść do prawdziwej wolności. Chcę być wolna od interpretacji, aby naprawdę ujrzeć rzeczy takimi, jakie są.

Chrystus przychodzi nieprzerwanie, aby budzić moje człowieczeństwo poprzez pragnienie. Jak moja świadomość i moje sumienie muszą być formowane, tak też i pragnienie – pragnienie, by chcieć rzeczy, które mój głód rzeczywiście zaspokajają, a nie tych, które pozostawiają mnie pustą. Wartość towarzystwa, mimo tego dystansu, jest w tym, że pomaga mi ono patrzeć i rozpoznawać, co naprawdę mnie syci, dostrzegać to w doświadczeniu. Jakiegokolwiek doświadczenie może mnie zaprowadzić do pragnienia od nowa. Ale tylko jedno pozostawia mnie z nowym poznaniem. Podczas gdy cała reszta pozostawia mnie z pragnieniem czegoś więcej, czegoś lepszego, nowego, doskonalszego, czegoś, co mogę kontrolować i do czego dojść mogę własnymi siłami.

Sądzę, że każde pragnienie może doprowadzić do Chrystusa, o ile jest wsparte przez towarzystwo, jest otwarte i gotowe. Pochodzę ze środowiska o kulturze buddyjskiej, moralistycznej. Od zawsze myślałam o pragnieniu jako czymś szpetnym, złym, czymś, co powoduje cierpienie, ponieważ nie ma sposobu, by zaspokoić to niepojęte Nieznane Pragnienie. A więc "bądź szczęśliwy z racji tego, co masz", lub z racji tego, co możesz osiągnąć. Jest w tym ziarno prawdy. Bo bez Łaski, do Chrystusa dojść nie jestem w stanie. To Jego czysty dar.

Już nie boję się moich pragnień. Bo, jeśli moje pragnienia się nie spełniają, pojmuję, że albo chwilowo się nie spełniają, albo, co więcej, że jest dobrem, iż jeszcze się nie spełniły. Myśleć w ten sposób mogę tylko poprzez odkrycie i uznanie więzi z Chrystusem. W jakiegokolwiek relacji, niemożliwym jest mieć WSZYSTKO to, czego chcemy. Gdybym miała WSZYSTKO, to oznaczałoby, że już jestem święta – że Jego Wola jest już moją wolą, że mam wszystko to, czego pragnę – mam WSZYSTKO.

Ksiądz Michele

Dziękuję, bo tymi słowami świadczysz, że pragnienie nie jest czymś banalnie oczywistym, automatycznym, i że kto nie zna Chrystusa, kto Go nie poznał, przeżywa pragnienie jako problem, jako kłopot do rozwiązania, niczym, w gruncie rzeczy, jakąś chorobę, jakąś sprzeczność. To prawda, że buddyzm ma takie o tym pojęcie. Ale, jak powiedziałaś: ja mogę patrzeć na moje pragnienie – i nie starać się byle czym go zadowolić. Dlatego, że spotkałam Chrystusa. Dlatego, że moje człowieczeństwo zostało potwierdzone: nie jest chore, nie myli się. My natomiast, paradoksalnie, ryzykujemy, że takie odkrycie skwitujemy jako coś automatycznie naturalnego i oczywistego. Bo wzrosliśmy w społeczeństwie określonym przez chrześcijaństwo, które, nieraz nieświadomie czy pośrednio, wychwalało pragnienie. To dla nas normalne, że jest rzeczą piękną fakt, iż ktoś czegoś pragnie. Natomiast tam, gdzie nie ma Chrystusa, to jest przykry i trudny problem. Raz, że nad tym nie można zapanować. No i, ponieważ nie istnieje żadna odpowiedź, nie jestem w stanie popatrzeć temu prosto w oczy. Jest coś z prawdy w powiedzeniu "bądź szczęśliwy z tym, co masz". Ale w sensie, jak nam mówi nasze doświadczenie, że w każdej rzeczy, która pojawia się nam w rękach, istnieje możliwość, istnieje droga dla otwarcia się na relację z Jedynym, który odpowiada na nasze pragnienie. W każdej rzeczy szukamy sposobu na zadowolenie się byle czym – tym akurat, co mamy w ręku; a to jest próba dewaluacji naszego pragnienia, oceniania go. Albo natomiast przeciwnie, znajdujemy okazję odkrycia, że, cokolwiek mamy w rękach – dzieci, maseczkę, drzewa, kolegów z pracy, a nade wszystko towarzystwo, nawet jeśli dalekie, wszystko to jest mi darowane przez Kogoś, teraz! W rezultacie, jasne, że mi nie wystarcza to, co mam. A to, co mam, jest natomiast przepełnione tą Obecnością, jest gestem tej Obecności, jest czymś dawanym mi przez tę Obecność, przez Tego, który daruje mi wszystko. Co umożliwiło, że moje oczy to spostrzegły, to uznały? Co mnie wyzwala z moich interpretacji – z subiektywizmu, z niepewności? Oto jest wielkie wyzwanie rzucone wszystkim. Stąd, wielką pomocą, jakiej sobie wzajemnie udzielamy, jest patrzeć na rzeczywistość, patrzeć na samych siebie, patrzeć na to, co się wydarza, tak, aby zrozumieć co jest obiektywne, i co znaczy, że tego nie możemy zmienić; w końcu, jeśli się mylimy, prędzej czy później okazuje się, co jest prawdziwe. Kwestia pragnienia jest podstawową stałą, dowodem, że coś nie jest interpretacją. Bo ja się mogę zajmować mnóstwem rzeczy. Ale pragnienie, jak sztywność z worka, zawsze w końcu wychodzi na zewnątrz. Jeszcze raz okazuje się obiektywne. Wracając do twojego przykładu, buddyzm nie jest w stanie całkowicie wymazać pragnienia z egzystencji. To może wydawać się osiągalne, ale dla niewielu, w wyniku wielkiego i długiego wysiłku, z użyciem wyszukanych technik orientalnych. Można w jakiś sposób i do czasu opanować nasze pragnienie. Lecz starczy pandemia, starczy wirus, starczy być zmuszonym do zamknięcia się w domu, i wraca poczucie lęku. To, co się w tych dniach dzieje, doprawdy wydaje mi się procesem wychowawczym, sposobem, w który Pan nas czegoś uczy. Używa czegoś najmniejszego, najmniej znaczącego w całym wszechświecie – wirusa, aby zburzyć cały zachodni i wschodni system interpretacji, manipulacji w celu kontrolowania pragnienia, kontrolowania natury człowieka stworzonej dla Boga, stworzonej jako oczekiwanie Boga, jako potrzeba Boga. To z nas wszystkich wyszło na jaw i w jednej chwili

wszystko zburzyło, ośmieszając nas z tymi naszymi wyszukаныmi próbami zaradzenia. To tak, jak gdy wpakujesz się na słup przydrożny: na nic interpretacje. To jest coś twardego, jest tam, nie możemy tego przestawić – i z tym czymś musimy się liczyć.

Ale teraz odpowiedzmy sobie: jak to jest, że Chrystus nie jest interpretacją?

Chcę tylko powiedzieć, że w ciszy odkrywam, że to wszystko jest dla mojego wzrastania, jest dla mnie, abym wzrastała.

Oczywiście. To jest dla twojego wzrastania, dla naszego wzrastania. A odkrycie tego nie jest interpretacją. Użyjmy przepięknego przykładu ewangelicznego, zacytowanego przez Księdza Carróna. Ślepy od urodzenia nie ma wątpliwości. Mogą gadać co chcą. Zасыpują go ciągle tymi samymi pytaniami. Potem idą też do jego rodziców, aby pytać: ale czy to prawda, że on urodził się ślepy? On ma do powiedzenia tylko jedno – i się nie myli. Jak mówi Ksiądz Carrón: Bóg nie waha się wrzucić go w kocioł tych wszystkich interpretacji, z jedynym pewnikiem: ja nie widziałem – a teraz widzę. Kropka. Mówcie sobie co chcecie, interpretujcie jak chcecie. A oni dalej ciągną: ale ten zadaje się z grzesznikami... Prawdę mówiąc, to jest prawdziwe pytanie! Uzdrawiony odpiera: nigdy dotąd nie widziano, żeby grzesznik, ktoś, kto nie może być prorokiem, kto nie przybywa od Boga, uzdrawiał... To wy mi musicie wytłumaczyć; ja mogę jedynie opowiedzieć to, co zdarzyło się w moim życiu. Cokolwiek zechcecie powiedzieć, ja w pierwszym nie widziałem – a teraz widzę. Prawdziwe pytanie polega na tym: czy my sobie z tego zdajemy sprawę, czy jesteśmy tego świadomi. Chyba dlatego tak nas uderzył Azurmendi, w Dniu Początku Roku. Są nam pomocni przyjaciele, dla których jest jasne to przejście, i którzy swoim życiem mogą powiedzieć: w pierwszym byłem taki – a teraz jestem inny. To nie interpretacja. Czy to nam pomaga dostrzec takie wydarzenie? Bo przecież nie jest to ani oczywiste, ani automatyczne. Weźmy na przykład epizod z dziesięcioma trędowatymi: tylko jeden z dziesięciu zauważa coś, co dla wszystkich było obiektywne. W pierwszym byli trędowaci – potem nie byli trędowaci. To nie jest interpretacja. Ale możesz wzrok od tego odwrócić, nie wziąć pod uwagę, możesz to uznać za banalnie oczywiste; nawet uzdrowienie z trądu...

To pewien poziom wolności. Pełna jestem zdumienia. Zdumiewają mnie moi przyjaciele, moja rodzina. I pragnę dziękować Panu. Bo, przyglądając się podłożu mego środowiska, jestem zdumiona.

Dlatego mówię, że wszyscy jesteśmy wdzięczni za to; bo to tak, jakbyśmy stanęli przed ślepy od urodzenia czy dziesiątym trędowatym, to znaczy przed tym, który to zauważa, który świadomie patrzy na to, co się zdarzyło. To kwestia wolności, masz rację. To tak, jak mieć kogoś, kto mi to pokazuje, kto mi to uświadamia. Twoje świadectwo bardzo dużo dla mnie znaczy. Zwłaszcza ostatnie twoje słowa, o wdzięczności, kiedy przypatrujesz się podłożu twego środowiska. Ponieważ pokusa, aby myśleć, że samoświadomość – zdanie sobie sprawy z tego, co mi się wydarzyło, z tego, kim jestem – jest czymś abstrakcyjnym.

Ja wiem, że wolność to kwestia łaski. Ale istnieje też moje pragnienie. Jak one się godzą?

Cały czas o tym mówimy. Pragnienie jest czymś obiektywnym. Pragnienia nie możesz sobie narzucić. Pragnienie to struktura; potrzeba jest strukturą naszej natury. Co to oznacza? Że wszyscy jesteśmy spragnieni relacji z Chrystusem. To prawda, że tu wchodzi w grę wolność. Bo ja mogę się tej prawdzie oprzeć. Mogę chcieć czegoś innego. Mogę nie chcieć widzieć wszystkiego. Doskonale o tym wiemy. To tak, jak gdy ktoś się zakochuje. Zachodzi fakt, zakochanie się wydarza. Ale potem chodzi o to, żebym się poruszył, poszedł za tym zakochaniem... A może zacznę sobie mówić: no nie, kto wie dokąd mnie to zaprowadzi..., tak mi dobrze w domu... Trochę banalizuję, ale tylko trochę. Moja wolność, w obliczu pragnienia, powiedzmy to tak: przebudzona jest obecnością. Wolność decyduje, czy posłuchać pragnienia i Chrystusa, który nań odpowiada,

czy też nie. I ta decyzja jest doprawdy codzienna. Kiedy rano się podnosimy i czujemy niesmak, gorycz, trud, gdy spostrzegamy, że wszystkiego potrzebujemy, gdzie wzrok zwracamy? Albo, co gorsza, my sami decydujemy gdzie nie chcemy patrzeć? My decydujemy... W tym sensie, tutaj właśnie, rozgrywa się wolność. Chodzi zawsze o wolność w obliczu czegoś, co jest obiektywne. Nawet ktoś, kto widział uzdrowienie ślepego od urodzenia, decyduje. Bo przecież, powiedzmy sobie, zobaczyć wskrzeszenie człowieka, na przykład Łazarza, nie pozostawi nikogo obojętnym. To jasne, że mnie to intryguje, porywa. Oto odpowiedź na to, czego pragnę. Ja pragnę nadmiaru, pełni życia. Jednak, kiedy zauważam, że krok w tym kierunku żąda czegoś ode mnie, żąda pójścia za tym Człowiekiem, kroczenia Jego śladem, żąda przemiany wszystkich schematów myślenia o tym Człowieku, o mnie samym, o rzeczywistości, teraz muszę zdecydować, czy przezwyciężyć to wyrzeczenie, ominąć to pozorne poświęcenie, przesłować ten opór, czy też, inaczej, posłuchać i pójść za tym, co mnie porwało, za tym, co odpowiada na moje pragnienie.

4/ Wystąpienie z Italii

Ja chcę zrozumieć coś więcej. Wczoraj mówiłeś, że co rano, gdy wstajemy, zaczyna się walka między tendencją do rozkładu, która nami miota, kruszy nas i wszystkie rzeczy, a mocą Boga, który nas chce i nas woła. W dalszym ciągu, stwierdzałeś potrzebę przyjrzenia się konsekwencjom. Aby stało się możliwym traktować je właśnie jako konsekwencje, trzeba dojść do korzenia.

Co to naprawdę oznacza – “dojść do korzenia”? Bo ryzykiem, którego doświadczam, jest dokonywanie czegoś w rodzaju analizy, przypominania sobie tego, co mi się zdarzyło w tych wszystkich latach, po to, by samą siebie przekonać, wmawiać coś sobie, pocieszać się. Jest dla mnie oczywiste, że, od kiedy spotkałam Chrystusa, coś ze mnie, coś we mnie się zmieniło. Ale to mi nie starczy. A to odtwarzanie, prześledzanie w pamięci, zaczynam zdawać sobie sprawę, pozostawia mnie w gruncie rzeczy pustą – opróżnioną z Wydarzenia. Trochę wmawiam sobie, że to ja jestem wydarzeniem.

Od czego od nowa zacząć?

Ksiądz Michele

O właśnie, do tego dążyłem. Dzięki ci. Owemu podejrzeniu, że bawimy się słowami, aby samych siebie przekonać, spojrzeć musimy prosto w oczy. Ślepy od urodzenia musiał sięgnąć pamięcią i wyłowić z przeszłości co mu się wydarzyło. Ale czynił to mocą czyjejś realnej obecności w teraźniejszości. Zabawiać się słowami oznacza, że wkrada się coś, co ja mam na myśli... Natomiast pamiętać, inaczej: przywoływać na pamięć, oznacza, że stawiam sobie przed oczami, uobecniam w teraźniejszości, to co było, co się stało, jest i pozostaje faktem. Jest faktem, który trwa. A ja uległem przemianie! Ja widzę! A więc, nie tylko nie opróżniam, nie odzieram Wydarzenia, ale, przeciwnie, przepełniam je jego historią. Przepełniam: co oznacza, że nań patrzę w całej jego głębi.

My rzeczywiście jesteśmy nieprawdopodobni! Połączyliśmy się. Jest nas 516 osób, ktoś w swej kuchni, ktoś inny przy swoim biurku czy w pracowni, gdzieś tam w świecie. Wyobraźmy sobie: wychodzę z tego studia i spotykam kogoś (prawda, jest lockdown; ale kogoś można spotkać...), zatrzymuję go, zapraszam “chodź, popatrz na to!”. Ale by gały wytrzeszczyć! Jest jedna, co mówiła z Brazylii. Inna ze Stanów Zjednoczonych. Jeszcze inna z Italii: co to jest!? My to uważamy za rzecz oczywistą. A co oznacza: uważać coś za rzecz oczywistą? Jak mówiłem we wczorajszej Nauce. Oznacza: wsadzić to w worek tego, co już wiem. To właśnie opróżnia, ogołaca Wydarzenie. To właśnie jest przeciwieństwem wydobywania z pamięci tego wszystkiego, co mi wyjaśnia, mi mówi, pokazuje co naprawdę mam przed oczami. Czynię Wydarzenie pustym, gdy nań nie patrzę, klasyfikuję je, segreguję w przegródkach rzeczy już znanych, w moich schematach myślowych. Na nic się zda zimna analiza. Tu chodzi o przypatrzenie się temu, co mam przed oczami, a co jest pełne głębi, konsystencji, jest historią.

Powtarzam: ślepy od urodzenia czuł potrzebę pójścia i przyjrzenia się: kto to był?, co mi się stało? I to było podstawą, racją faktu w teraźniejszości: wzrok – mogę widzieć! Musimy na to właśnie

popatrzeć. Tu chodzi o sposób używania rozumu na 360°. Tak, żebym ja, aby widzieć, aby poznać to, co mam przed sobą, umiał pamiętać i brać pod uwagę wszystko. Gdy nie uwzględniłam wszystkiego, cała kwestia staje się abstrakcją.

Wyobraź sobie, że patrzysz na syna, na wnuka czy na przyjaciela, który ci odpowiada: "skoro tak, skoro mi to mówisz, to znaczy, że mnie nie kochasz!". Daj spokój! Co znaczy, że ciebie nie kocham?! Popatrz na wszystko, popatrz na historię, która wyjaśnia ci fakt, że ty tu, teraz, stoisz przede mną, a ja ci mówię takie słowa. Jeśli obedrzesz ten fakt z jego historii, pewnie, że trudno będzie pojąć, dlaczego ja w tym momencie ciebie upominam, dlaczego każę ci odrabiać zadania domowe, albo cię w czymś poprawiam. Jeśli odbierasz tej chwili jej gęstość posiadaną właśnie dzięki miłości, jaką do ciebie żywię, miłości będącej faktem wewnątrz historii, wewnątrz relacji, cóż z tej chwili pozostaje? Jasne, że czynisz pustym obecne Wydarzenie, tu, w teraźniejszości. Wydarzenie zmienia się w zwykłą reakcję, doraźną reakcję twego syna czy przyjaciela, który, urażony, replikuje na to, co mówisz. Prawdziwy osąd, natomiast, dokonuje się dokładnie w odwrotnym porządku.

Dlatego właśnie cisza jest zbroją, bronią. Ponieważ cisza jest wchodzeniem w głąb każdej rzeczy. Jest walką o przestrzeń, w której wyłania się całość pamięci: kim jest Ten, który to wszystko mi daruje? Prawie nigdy w ten sposób na siebie nie patrzymy. No tak, takie spojrzenie kosztuje – wymaga przebycia drogi. A jak to jest możliwe w obliczu Chrystusa? Ja i moje **TAK**, by wejść w taką rzeczywistość (jestem chora..., brakuje mi powietrza...)? Dlaczego to nie jest pech? Dlaczego to nie jest przeciwko mnie? Ja potrzebuję doprawdy owej świadomości, potrzebuję pamięci historii, aby móc spojrzeć na tę chwilę, ten fragment rzeczywistości aż po jej korzeń. Jak mogę powiedzieć, że ta cała rzeczywistość jest mi przez Ciebie dana? Trzeba, abym uświadomił sobie, przypomniał to wszystko, co mi się wydarzyło. Abym mógł zaufać, że rzeczywistość jest w Czymś ręku, w ręku Tego, który mnie kocha, i że ta rzeczywistość, ta okoliczność nie jest mi wrogiem, jakiej mi świadomości potrzeba? Do czego mam powrócić? To tak, jak z dzieckiem w obliczu mamy, która je łąja. Tu wszystko zależy od mojej wolności: przystaję na to – czy nie? Nawet wtedy, gdy decyduję zaufać w sprawie, której, przyznaję, straszliwie się boję. Gdy tylko mówię "ufam" – ufnością zbudowaną w rezultacie rozumnej drogi, na świadomości pełnej słusznych racji, pełnej faktów widzianych i zapamiętanych -, wówczas doprawdy zaczyna się pokój, zaczyna się inna miłość. Dopóki ktoś nie przeżyje, nie przeżywa tego doświadczenia, może wierzyć. Ale to zupełnie coś innego doznać **wyzwolenia** – przeżyć fakt, który mi pozwala powiedzieć: mogę Tobie zaufać, Panie, Tobie, który mnie opasujesz, i nie tak, jak ja bym to zrobił.

5/ Wystąpienie z Republiki Czeskiej

Moje pytanie "Dlaczego?" bez końca mnie prześladowa. Jest ono powiązane z moim nawróceniem z wiary odziedziczonej na wiarę osobistą, które nastąpiło szesnaście lat temu za pośrednictwem dziewczynki, która wkrótce potem, kiedy miała dziewięć miesięcy, zmarła na gruźlicę [dosłownie: biała śmierć]. To był dla mnie fakt przerażający. I powiedziałam wtedy Bogu: "Jeśli moje nawrócenie przechodzi taką drogą, ja nie chcę mieć z Tobą nic wspólnego". Z tym skończyłam. Byłam bardzo nieszczęśliwa. Potem natknęłam się na kilka osób, których życie, widziałam, było przepiękne, pełne. I zawsze okazywało się, że byli oni chrześcijanami. Wówczas zrozumiałam, że muszę pójść śladem Tego, który dopuścił tamten fakt, i umożliwia takie życie. Jednak pytanie ciągle powraca. Gdy tylko zdarza się coś, co wdziera się w moją egzystencję, a czego nie pojmuję, natychmiast cofam się do tamtego wyjściowego stanu śmierci. Nie potrafię znaleźć prawdziwej, wystarczającej nań odpowiedzi. Widzę i uznaję dobro, które bezspornie te zdarzenia wniosły w moje życie, dobro, które, coraz potężniejsze, się ujawnia. Ale, ostatecznie, zamykam te pytania czymś w rodzaju: "Ponieważ Bóg może wszystko, a więc może i do czegoś takiego dopuścić, i coś takiego umożliwić, czego ja nie rozumiem. Jak się zobaczymy na Tamtym Świecie, wówczas Go o to zapytam". Jeśli się nie oprę o taką odpowiedź, zatrzymuję się. I wszystko staje się niczym. Słuchałam twojej Nauki. Obstawiałeś przy kwestii serca, które, niezłomne, nie daje się zredukować. Tak. Ale są takie pytania, których nie można stawiać, bo grożą obłędem. A do tego, zdałam sobie też sprawę, że moja lista tego typu pytań z upływem czasu rośnie. W dalszym ciągu Nauki,

przyszła mi do głowy taka hipoteza: a jeśli wyłączną przyczyną tego wszystkiego jest coś, co ja natomiast uważam za "piękne konsekwencje"? Może odwrotnie, taki właśnie jest powód [a nie cel]: miłość do mnie? Miłość, która się nie cofa, nie obawia się ryzyka rozdzierającego bólu mojego i innych? I wtedy dostrzegłam, że to właśnie wydarzyło się na Jezusowym krzyżu. Bóg, który do tego stopnia umiłował, że się nie cofnął nawet przed bólem nieskończenie większym od mojego. Patrzeć na Jezusa ukrzyżowanego jest patrzaniem na pytania, które grożą obłędem. Czuję się jak Piotr po cudownym połowie. "Panie, oddal się ode mnie, bo jestem grzesznikiem". Jak mogę wytrwać wobec takiej preferencji – tak wielkiego wybraństwa, które dociera do mnie "za wszelką cenę" [dosłownie "po trupach"...]?

Ksiądz Michele

Dziękuję ci, bo te pytania pozwalają wypłynąć na światło podstawowej kwestii – prawdzie, że ewentualna odpowiedź na pytania, które o obłęd przyprowadzają, kiedy tylko usiłujemy ją odszukać w jakichś słownych objaśnieniach, choćby chrześcijańskich, sprawia, że te pytania stają się nie do zniesienia, a odpowiedź nie do przyjęcia, niewystarczająca. Mówisz: *"Nie potrafię znaleźć prawdziwej, wystarczającej nań odpowiedzi. Widzę i uznaję dobro, które bezspornie te zdarzenia wniosły w moje życie, dobro, które, coraz potężniejsze, się ujawnia. Ale, ostatecznie, zamykam te pytania czymś w rodzaju: 'Ponieważ Bóg może wszystko, a więc może i do czegoś takiego dopuścić, i coś takiego umożliwić, czego ja nie rozumiem. Jak się zobaczymy na Tamtym Świecie, wówczas Go o to zapytam'..."* gaszę pytanie. Zmuszona, zmuszony jestem jakoś je zdusić. Bo coś takiego – dobro, które to pytanie wzbudziło, nawet jeśli uznane, zauważone, nie starczy, nie zamyka pytania. Ale co mówisz zaraz potem? *"A jeśli wyłączną przyczyną tego wszystkiego jest coś, co ja natomiast uważam za "piękne konsekwencje"? Może odwrotnie, taki właśnie jest powód [a nie cel]: miłość do mnie?"*. A więc, jaka jest różnica między pierwszą a drugą postawą, pierwszą a drugą hipotezą? Że pierwsza jest chrześcijańską teorią, a druga jest Obecnością. I inaczej: że odpowiedzią na wielkie pytania Hioba co do bólu, śmierci, choroby, odpowiedzią na "dlaczego właśnie mnie się to stało?", "co ja zawiniłam?", "dlaczego akurat to dziecko?", nie jest wytłumaczenie. Jest natomiast towarzystwo – jak usłyszeliśmy w świadectwach -, jest ktoś, kto mnie weźmie za rękę, teraz. Ponieważ moje zrozumienie nie polega na intelektualnym zamknięciu kwestii, ale na czymś niepomniernie większym. Potrzeba, by w moją egzystencję wszedł czynnik towarzystwa. Sens jest w miłości, dokładnie w miłości do mnie. Wówczas, w tym kręgu, zaczynam pojmować też i objaśnienia. A jeśli Chrystus nie stałby się człowiekiem, miłującym, Obecnością, która mnie kocha, teraz!, takie pytania kończyłyby się obłędem. Bo na próżno szukałbym pociechy w intelektualnych odpowiedziach.

Zdarzyło mi się, że, zaproszony, poszedłem odwiedzić pewną panią. Przyszedłem do jej domu. Powiedziała mi, że skończyła pisać książkę, w której opowiada swą tragedię z chorą córką, która ma 27/28 lat, ale jej inteligencja zatrzymała się na poziomie lat pięciu. Matka była w rozpacz. Mówiła: "Przez całe życie nigdy nie mogłam mieć tego, co wszystkie inne matki mają". Chciała, bym ja napisał przedmowę do jej książki. Prawdę mówiąc, pomyliła się – myślała, że zaprosiła mojego brata, który jest dziennikarzem. Odrzekłem jej: "Mogę, owszem, napisać przedmowę. Ale prawdopodobnie nie ze mną pani chciała rozmawiać. Ja jestem księdzem". Gdy się dowiedziała, że jestem księdzem, wpadła w jeszcze większą wściekłość. I zaczęła krzyczeć: "Dlaczego? Dlaczego ja!? Dlaczego moja córka? Dlaczego muszę to wszystko przeżywać?!". Byłem niczym obezwładniony pięściarz, ze spuszczonej rękoma, który inkasuje ciosy w twarz, w rogu ringu, bez szans reakcji... Na takie "dlaczego?!", cóż mogłem odpowiedzieć? Gdy zamilkła, byłem zupełnie ogluszony. Po chwili się zorientowała, że nieco przesadziła. Poczęstowała mnie herbatą. A mnie zabłysło światelko – reakcja, która właściwie była objawieniem Ducha Świętego. Odrzekłem: "Niech pani posłucha. Ja nie jestem w stanie odpowiedzieć na żadne z pani 'dlaczego?!'. A nawet gdybym zdołał odpowiedzieć i dał pani wytłumaczenia takie, że zamknąłbym pani usta, takie, których by pani odeprzeć nie mogła, byłaby pani z tego zadowolona? Pani nie szuka jakichś 'dlatego, że...', nie szuka wyjaśnień. Pani szuka kogoś, kogo pokochać, kogoś, kto by pani okazał miłość wewnątrz tej całej sprawy, pani szuka towarzystwa. Pani nie interesuje żadne 'dlatego,

że...”. Nie można żyć dla czegoś takiego – dla jakiegoś “...ponieważ...” będącego wywodem wyjaśniającym. Żyje się dla miłości w tej danej, bieżącej sytuacji. Ile razy to widzieliśmy wśród naszych przyjaciół, w naszych rodzinach, właśnie w tym, co zachodzi wśród nas. W następstwie pojawiają się także wyjaśnienia, które czynią bardziej zrozumiałym czy wręcz godnym kochania również i to, co przedtem było znienawidzone, to, co nas przerażało. Ale trzeba, by odpowiedzią, sensem rzeczy i zdarzeń była ukochana Obecność, była miłość, która wkracza w życie. Obecność! A interesującym jest fakt, iż droga każdego z nas w tej sprawie jest jedyna, osobista. To znaczy, ty nam opisałaś, że na początku oddaliłaś się od Boga. A potem stanął przed tobą z pięknem, którego trudno nie kochać. Dlaczego to mówię? Abyśmy się nauczyli nie sądzić, nie mierzyć innych miarą tego, co, wydaje się nam, zrozumieliśmy. Jeśli Bóg jest cierpliwy, to ile cierpliwości my mieć musimy!

Ale tym, co mnie najbardziej porywa w twojej wypowiedzi, jest różnica między nieznoszeniem rozumowań i argumentacji a postawą w obliczu miłości mi okazanej: wszystko się przemienia, wszystko staje się częścią tej relacji.

6/ Wystąpienie z Italii

Słuchałam Nauki. Dwa momenty mnie bardzo uderzyły.

-Pierwszy to pustka dnia. Ile jest wart mój dzień? Wtedy, kiedy coś robię? Wtedy, gdy robię coś użytecznego?

W tych miesiącach powrotu do szkoły, mój dzień nie tylko nie jest bezczynny, ale jest wirem wielu spraw, którym muszę stawiać czoła. W szkole, nawet gdy tam jesteśmy fizycznie obecni, wszystko stało się dużo bardziej absorbujące, choćby tylko pod względem czysto organizacyjnym. Więcej roboty w domu – wspomaganie mojego syna z zespołem Downa, tak w zajęciach szkolnych, jak i tych w centrum, do którego uczęszcza. To mi zajmuje ogromną część dnia.

Ale to tylko druga strona tego samego medalu, o którym mówił Ksiądz Michele: odór nicości owiewa nas również w dniach tak pełnych.

-A potem piosenka “Il mio volto” [Moje oblicze]. Ja właśnie często śpiewam w samochodzie, jadąc rano do pracy. Już od dwóch godzin jestem na nogach. Już odprowadziłam syna na przystanek tramwajowy. Wiem, że to jest mój krzyk przed Nim, zanim rzucę się w wir codziennych spraw...

Oto moje pytanie: kiedy czas jest moim czasem? Już od dawna to mnie porusza od głębi, poczucie niemożliwe do sprowadzenia do czegoś określonego... Tak, jak o tym wczoraj mówiłeś...

Czy czas jest moim czasem, gdy robię to, co chcę? Wtedy, gdy ja określłam rytm dnia? Kiedy wygrzebuje wolną chwilkę dla reguły? A jeśli tej chwili zabraknie?

To rozumiem, że problem nie polega na czekaniu na “wolny czas”. I że kwestia rozgrywa się tu właśnie, w fałdach codziennych zajęć...

“Jeśli jest pytanie, jest też nań odpowiedź”... “Wielką, zasadniczą pracą jest samoświadomość, być tak świadomymy siebie [dosłownie: obecnymi wobec samych siebie], że dostrzegamy i uznajemy, iż Ty, Tajemnico, jesteś, jesteś tutaj”. Domyślam się, że czas poczyna być moim, jeśli ja staję się Jego, Chrystusa. To jest posiadanie rzeczy, które rodzi się z bycia porwaną i kochaną. Chodzi tu o uznanie tego, o zauważenie tego tu i teraz...

Chcę, byś mi w tym pomógł. Bo czasem z dna podnosi się podejrzenie, że to za mało, że takiej nowej samoświadomości brak siły...

Ale posądzam, że tu właśnie rozgrywa się batalia. Czuję się często niczym akrobatka trapezistka, która, gdy skacze, ma tylko jeden punkt oparcia...

Ksiądz Michele

Mogłabyś lepiej wytłumaczyć twoje słowa: “Domyślam się, że czas poczyna być moim, jeśli ja staję się Jego, Chrystusa. To jest posiadanie rzeczy, które rodzi się z bycia porwaną i kochaną”?

Ja rozumiem, że rzeczy nie są moje dlatego, że je jakoś poukładam na siłę. A ja mogę być w rękach tych rzeczy – lub mogę być w ręku kogoś Innego. To przeczuwam, pojmuję. Ponieważ, kiedy nie jestem Jego, Tego, który zrobił, że moje życie twardo na nogach stało w przeróżnych

sytuacjach, choćby w obliczu śmierci mojego męża, które mnie nie powaliły..., paradoksalnie powalają mnie nieraz rzeczy do zrobienia, do załatwienia, a zwłaszcza towarzyszące im napięcie. Rozumiem, że tu jest odwrócenie kwestii do góry nogami. Rzeczy moje nie są, czas nie jest mój, kiedy próbuję nad nimi zapanować. Są moje, gdy uznaję Tego, który jest ich Panem, ich Władcą prawdziwym. Tak jak dotąd, żyć dalej już nie mogę...

Ksiądz Michele

Tyś właściwie wszystko powiedziała. Mówisz: *“Kiedy czas jest moim czasem? Czy wtedy, gdy robię to, co chcę?”*. Kto z nas nie wie, jak na to pytanie odpowiedzieć? Nie, żeby pragnienie pewnych chwil w nas zagasło. Ale jeśli te chwile są odcięte, wyobcowane, przeżywane nie wewnątrz tej relacji, nie wewnątrz tej postawy, tego uznania..., doskonale zauważamy, czy one nas napęniają, czy też pozostawiają pustkę. Orientujemy się bezbłędnie, czy ten czas jest naszym czasem: garść prochu nam w rękach pozostaje... Żłuda – i pustka w rękach. To, coś przed chwilą powiedziała, pozwala lepiej zrozumieć, że wszystko rozgrywa się na takim poziomie: czy ten, który ja nazywam “moim czasem”, jest czasem dla mnie i przeze mnie wykrojonym; czy też tym, co napęnia mój czas i czyni go moim, jest przeżywanie go wewnątrz tej Obecności. To jest podstawowa kwestia. Bo, jeśli dla kogoś, kto powołany jest do życia w Bractwie Świętego Józefa, alternatywą jest: z jednej strony okoliczności – a z drugiej Jezus..., to lepiej rozwiążmy Bractwo Św Józefa. Ponieważ jest dokładnie odwrotnie. Doświadczeniem, które niesiecie w waszym ciele, jest, że ta Miłość, że to powołanie w pewnym punkcie, jest historią, która mnie przyniosła aż tutaj. Ilu z nas mogło by opowiedzieć niewiarygodne historie, pełne niespodziewanych okoliczności, rzeczy niewyobrażalnych, w których widzieliście zwycięstwo Chrystusa. Dlatego możemy, mogę stanąć w obliczu okoliczności ze świadomością tej Obecności, która pokazała, jak mnie miłuje. Żyję wewnątrz tej relacji, świadcząc wobec świata, że wielka Miłość czyni z wszystkich okoliczności Wydarzenie. I że niczego innego nie trzeba. Nie trzeba, bym wykrajał sobie fragmenty dodatkowej przestrzeni dla ulotnych pociech, aby znieść terażniejszość.

Oto wyzwanie, droga, którą codziennie od nowa idę. I za każdym razem mogę sprawdzić, czy rzeczywiście krocę tą drogą. Wstrząsające jest, szczególnie, gdy mówimy o czasie wolnym, zauważać, że mamy w głowie taki schemat, którego jakoś nie możemy wytępić (mimo, że doświadczenie mówi coś przeciwnego, i wszyscy to powtarzamy...): że iść za Chrystusem, przeżywać wszystko w Chrystusie, to wyrzeczenie, to trud. Dam wam przykład. Wczoraj siedziałem w fotelu. Musiałem wziąć jakiś przedmiot, który znajdował się za moimi plecami, w niewygodnym punkcie. Żeby po niego sięgnąć, powinienem był wstać. Ale, aby zbytnio się nie trudzić... Myślę, że wszystkim się zdarza robić karkołomne gesty...; a w rezultacie trud jest trzykrotnie większy! Mało brakowało, a byłbym spadł z fotela! A gdybym był wstał, z pewnością bym się dużo mniej zmęczył.

Otóż, wobec Chrystusa to samo się dzieje. Realne cierpienie, prawdziwie gorzkie wyrzeczenie, w znaczeniu: udręka, jest wtedy, gdy Jego brakuje, gdy przeżywam okoliczności nie wewnątrz relacji z Nim. Zawsze mnie porusza, gdy Ksiądz Carrón powtarza: to nie jest prawdziwe pytanie: jak można wszystko przeżywać w relacji z Chrystusem?; prawdziwe pytanie brzmi: jak możesz cokolwiek przeżywać poza relacją z Nim, jak możesz nie przeżywać wszystkiego w relacji z Chrystusem? Cóż za trud! Czas staje się pusty, czas się dłuży, nie ma końca, czas niczego w sobie nie niesie, jest czymś, co, nie możemy się doczekać, przeleci szybko, bo potem będzie coś innego... Czas bez Chrystusa przestaje być naszym czasem, bo w nim niczego dla nas nie ma. Następuje odwrócenie doświadczenia. Obraz trapezisty jest naprawdę piękny.

Ale pytanie, które na końcu zadałaś, okazało się dla mnie nowym światłem: *“czasem z dna podnosi się podejrzenie, że to za mało, że takiej nowej samoświadomości brak siły”*. Powiem jedno: to jest wszystko! Ponieważ bez samoświadomości, bez zdobycia świadomości samego siebie, bez pamięci, bez tej całej walki, bez wyjścia na jaw twego pragnienia, nie ma ciebie! Nam to się może wydawać abstrakcyjne. Choć w tych dniach powinno to być stać się doświadczeniem ewidentnym. Jak to w Nauce powiedziałem: wpierv zdawało się nam, że abstraktem było owo pragnienie, którym ja jestem, pragnienie podatne na interpretację, pragnienie, powiedzmy, godne

spirytualistów. A konkretem miałyby być rzeczy, które robimy. A teraz oczywistym się stało, że to, co robimy, jest puste, oderwane od rzeczywistości, bezsensowne. Przyprawia o obłęd, jeśli nie mam przed sobą całego mojego pragnienia, nie odkryłem jego znaczenia, nie znam przyczyny ni celu – owego “dlaczego”, nie mam nikogo, kogo mógłbym kochać w tym, co robię. To wcale nie jest “za mało”. To jest **wszystko!**

Właśnie na ten temat, chciałem wam przeczytać dwa słowa od naszej przyjaciółki chorej na SLA (stwardnienie zanikowe), która mogła jedynie cudem podyktować oczami swoje wystąpienie:

7/ Wystąpienie z Italii

Mnie nie wydaje się, że żyję w nicości, jak to określacie ty i Ksiądz Carrón. Czy ja jestem niewrażliwa, obojętna? Mam się tym niepokoić?

Ksiądz Michele

“Mnie nie wydaje się, że żyję w nicości”. Oto jest to, co nas wszystkich zdumiewa, co jest dla nas wszystkich wyzwaniem, prowokacją. Bo, w naszym pojęciu, ty jesteś przykładem kogoś, kto powinien powiedzieć: do niczego nie jestem zdatna, moje życie jest niczym, jest niepotrzebne... A ty, natomiast, wobec nas oświadczasz coś zupełnie przeciwnego, tym jednym pytaniem w formie stwierdzenia: mnie nie wydaje się, że żyję w nicości. A więc, jakaż walka w tobie się toczy, że możesz coś takiego powiedzieć! Jaka jest w tobie świadomość dobra, świadomość relacji z Chrystusem, świadomość potrzeby, którą przeżywasz, trudu, sprzeczności, którym musisz stawiać czoła, że jesteś w stanie coś takiego powiedzieć! To my powinniśmy się zaniepokoić! My, którzy, natomiast, nawet nie zauważamy, że żyjemy w nicości; bo mamy tysiąc możliwości, których ty nie masz. To, o czym świadczysz wobec nas, wydaje mi się czymś najcenniejszym, czym możemy zakończyć to spotkanie. Fakt, że ty możesz stwierdzić, iż nie żyjesz w nicości, jest dla mnie wezwaniem, świadectwem, jest rzeczywistością, którą Pan mi stawia przed oczami i wzywa mnie, bym odkrył i zdał sobie sprawę, że z walki, którą toczysz z dnia na dzień, można wychodzić zwycięzcą. A to oznacza, że Chrystus zwycięża. Że możesz stwierdzić, iż nie żyjesz w nicości, i że to wydaje się normalne... Brak mi słów. I przepełniony jestem wdzięcznością.

Drodzy przyjaciele, wydaje mi się, że przeszliśmy piękną drogę. Mamy idee do przepracowania, aby pomóc sobie wzajemnie i aby razem wyjść naprzeciw Temu, który nadchodzi.

Dziękuję wam za te dni, za cierpliwość, za współpracę, za fakt, że jesteście, że przyjęliście zaproszenie na spotkanie, na które nas Pan wezwał. Módlmy się wszyscy wzajemnie za nasze towarzystwo, w tym Adwentowym czasie. Odpowiedzialność każdego z nas, by przeżywać do głębi tę świadomość – to rozumne poczucie, które odnawia się co rano, codziennie – jest ogromna. Bo na świecie nie ma nikogo, kto byłby tak prowadzony, pouczany, wzięty za rękę z taką pieczołowitością, jak opisuje dzisiejsze Czytanie: *“Opatrzę chorą [owieczkę]...”*. W taki sposób nas porwał, nas zdobył ten Król. I wezwani zostaliśmy, by tę świadomość darować najmniejszemu. To jest największa rzecz, jaką możemy zrobić dla całego świata, dla wszystkich.

Prośmy Matkę Bożą, by nas wspierała w tej Adwentowej drodze, wszystkich nas razem. I, jak Ona, wszystko zaczynamy od uznania Jezusa, Którego Ona niosła w swoim łonie. I my to możemy powiedzieć – możemy zaczynać od zauważenia i uznania, że Jezus jest w łonie naszego towarzystwa. Ale naprawdę!, to nie jest obraz, metafora!, On jest fizycznie obecny! Dlatego kończymy, odmawiając razem *Memorare*. Chcemy Matce Bożej powiedzieć: wspomnij, że nigdy nie słyszano, aby ktoś Cię o coś poprosił i tego nie otrzymał.

Autora)

(tekst nie przejrany przez